Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 41 (1880) ● 9–15 października 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl d670026849

WOJNA DOMOWA

Prezydent podpisał ustawę o podatku od nadmiarowych zysków koncernów paliwowych, choć kokieteryjnie wysłał ją do kontroli następczej w TK. Ustawa, którą prezydent podpisał w październiku, i ta, którą skutecznie zablokował w lipcu, różnią się zgoła kosmetycznie i trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to ze strony Karola Nawrockiego krok do tyłu – choć zapewne podyktowany nie szantażem ze strony Tuska, tylko jakimiś wewnętrznymi badaniami, które wykazały, że dalsze blokowanie obniżki cen paliw przyczyni się do spadku popularności głowy państwa. Pytanie wszakże, jak wpłynie to na jego wizerunek mocnego człowieka – już Machiavelli nauczał, że jeśli książę ma ustępować, powinien to czynić szybko, bo wtedy ustępstwo jest odebrane jako przejaw wspaniałomyślności. Jeśli ustępuje po walce – wykazuje słabość. Jakie czasy, taki książę, ale zasady manipulowania poddanymi pozostają niezmienione.

W Ostrołęce 19-letni uczeń lokalnej zawodówki przyszedł do szkoły z maczetą i pokroił dziewięć osób, w tym dwie poważnie. Był to drugi tego typu incydent w tym roku – pierwszy miał (nieomal) miejsce we wrześniu, kiedy siódmoklasista z podstawówki w Książkach w kujawsko-pomorskim chciał zabrać do szkoły bagnet, żeby zadźgać kolegów i koleżanki, ale pochwalił się tym w necie, więc policja go zgarnęła przed wyjściem z domu. W tym samym czasie w amerykańskich szkołach doszło do 146 incydentów z użyciem broni palnej, co jest optymistyczną wiadomością w porównaniu z np. rokiem 2023, kiedy było ich 352.

Dwa dni przed atakiem w Ostrołęce mieliśmy okazję wysłuchać przemyśleń wicemarszałka sejmu Krzysztofa Bosaka na temat bezpieczeństwa. Otóż jeśli ktoś ma pozwolenie na broń, to „w swoim mieszkaniu w bloku, w prawidłowo ustawionej szafce spełniającej przepisy, może trzymać karabin, także jakąś wersję kałasznikowa" i „przestańmy robić sensację z tego, że ktoś ma broń", a tak w ogóle to „jesteśmy krajem, w którym współczynnik broni na obywatela mamy jeden z najniższych w Europie i to jest wstyd". Aha i jeszcze p. Bosak uważa, że „każdy, kto jest zdrowy, ma jakąś minimalną rezerwę czasu i finansów, powinien nauczyć się strzelać, być w jakimś klubie strzeleckim, załatwić sobie również pozwolenie na broń". Ależ oczywiście, w końcu rozpaczliwe ganianie z kosą po szkołach musi być bardzo frustrujące dla polskich dzieci i młodzieży. Lepiej pociągnąć serią z z kałacha tatusia.

W niedzielę rozstrzygną się wybory w Krakowie. Sondaże wróżą zwycięstwo Łukaszowi Gibale, któremu należy się ono za samą determinację. Gibała kandyduje na prezydenta Krakowa po raz czwarty, a tym, którzy usiłują zrobić z tego argument przeciw niemu, odpowiada zręcznie, że jak ktoś naprawdę w coś wierzy, to nie daje się zniechęcić. Zresztą trudno powiedzieć, żeby druga strona „postawiła na zwycięzcę": Monika Piątkowska kandydowała już w różnych wyborach z SLD, PSL, Polski 2050 – i za każdy razem dostawała w dupę. Obecny mandat senatora zawdzięcza wyjazdowi Bogdana Klicha do USA, paktowi senackiemu i frekwencji w wyborach uzupełniających wynoszącej 16,5 proc. Także aktywność ważnych figur z KO, które usiłują wesprzeć jej kandydaturę, nie wygląda najfortunniej. W ostatni weekend do Krakowa pojechał Radek Sikorski, który zaatakował Gibałę twierdzeniem, że „to, że ktoś jest zamożny, to bardzo dobrze, ale to nie oznacza, że pieniądze powinny decydować o wyniku wyborów". Pełna zgoda – ale może niekoniecznie musimy się tego dowiadywać z ust faceta, który mieszka w zabytkowym zespole dworsko-pałacowym i w oświadczeniu majątkowym obok dwóch nieruchomości po sześć baniek wpisuje „kruszce, ok. 2000 gram" (sic!).

Prezydent Trump spotkał się z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem. Nie teraz, w marcu, ale teraz się mleko wylało i wszyscy są bardzo podnieceni. A przynajmniej dziennikarze. Temat spotkania pozostaje tajny, gdyż – jak ujął to premier Tusk – „to zbyt ciekawa rozmowa, żeby o niej publicznie mówić", ale „kiedyś historia się dowie". Wśród komentatorów istnieje raczej zgodna opinia, że Trump z właściwą sobie subtelnością zalecił Kosiniakowi, żeby rzucił Tuska i przystał do Nawrockiego. Jak ktoś uważa to za nietakt, niech sobie przypomni, co zrobił Donald Trump, kiedy nie odpowiadały mu władze Wenezueli. Albo Iranu.

Z odmętów przeszłości wypełznął upiór Leszka Balcerowicza i wpuścił swe cuchnące wyziewy na fale rafia ZET. „Do likwidacji jest na pewno 800 plus, które hamuje rozwój gospodarki, mamy przecież zasiłki rodzinne" – orzekł. Próg dochodowy, do którego w Polsce przysługuje zasiłek rodzinny, to 674 zł miesięcznie na osobę w rodzinie. Balcerowicz chce też zlikwidować 13. i 14. emeryturę oraz natychmiast sprywatyzować całą własność państwową – nie tylko spółki strategiczne, ale też infrastrukturę krytyczną, elektrociepłownie, tory i oczywiście wszystkie banki. Przytaczamy te idiotyzmy nie dlatego, że to, co ten dziad pierdoli, ma jakiekolwiek znaczenie – ale właśnie dlatego, że nie ma. Popatrzmy, jak daleko zaszliśmy od czasów, kiedy ktoś taki miał niepodzielne władztwo nad polską gospodarką. I tak, oczywiście, że za jego dogmatyzm i niekompetencję płacimy do dzisiaj – ale jednak jakiś postęp jest, skoro już naprawdę nikt go nie słucha.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Październik 2014 r.

Świętego Crepina

Ostatnio wyłączyłem się ze spraw tego świata, bo pochłaniałem książkę Roberta Harrisa „Oficer i szpieg" o sprawie Dreyfusa, która zmieniła ustrój Francji. Harris opowiada o tym, jak koszmarną zbitką jest nacjonalizm, katolicyzm, antysemityzm i wojsko. Ale także o tym, że Żyd jest niewdzięczny, bezczelny i zuchwały. Lektura zaspokaja wszystkie gusty.

Świętego Dymitra

Władze urządziły wielką fetę prożydowską. Ja bym przesunął ją do martwego sezonu przed Bożym Narodzeniem. Przytłumiony antysemityzm stanowi właściwość co najmniej 10 proc. społeczeństwa, ale może szacować go trzeba wyżej. Jakkolwiek liczyć, filosemicki festiwal nie jest politycznie trafny tuż przed wyborami samorządowymi. Wyczuje to każdy osioł, oślica też.

Świętego Huberta

Wychodziłem akurat nie w jakichś niecnych celach, lecz do kina. Azor szarpał mnie za nogawkę, żebym został w domu. Wyrwałem mu nogawkę może za energicznie, gdyż pudel ma bolące zęby. W każdym razie mocno pogryzł mi łydkę. Krew przesączyła się. Musiałem zmieniać spodnie, skarpetki, buty. Daniszewska dezynfekowała mi ranę i założyła opatrunek, gdyż dobra to kobieta. Żadna inna nie ratowałaby aż tak starego już męża, grata przecież. W każdym razie na obrany seans zrobiło się za późno. Azorek krwawo, bo krwawo, ale osiągnął swój cel. Wybitnie mądry pudelek.

Świętego Karola Boromeusza

Nadal trwa atak na Sikorskiego. To zemsta Pałacu Kultury, magicznej budowli warszawskiej, którą kiedyś ten facet chciał zburzyć. To, że zmyślił, iż Putin chciałby wraz z Polską dokonać rozbioru Ukrainy, nie PiS powinno wściekać, lecz prezydenta Rosji. Wściekanie prezydenta Rosji jest zaś trwałym celem i środkiem polskiej polityki zagranicznej. Putin jakoś spokojny, a u nas cały ten rejwach. Wicekaczyński krzyczy, że Putin zamordował Polsce prezydenta świętą pamięć. No to czymże jest przy tym, że on coś powiedział lub nie powiedział.

Świętej Bernilii

Para dziennikarzy katowickich z TVN i TVP oraz ich dziecko zginęli, jak wiadomo, z powodu wybuchu gazu. Ogłoszono, że Komorowski odznaczy ich pośmiertnie krzyżami zasługi. Rodzi to kilka pytań. Czy każdego, kto zaniedba instalacje gazowe i doprowadzi do wybuchu, państwo uzna za zasłużonego? Czy śmierć od gazu jest chwalebna i co na to Izrael, który się jej wstydził?

Dlaczego orderu nie dostało dziecko Kmiecików? Czy o wszystkich nadaniach Krzyża Zasługi prezydent ogłaszać teraz będzie w mediach? Czy aby prezydent przed wyborami nie podlizuje się publicznie przyjaznym mu telewizjom?

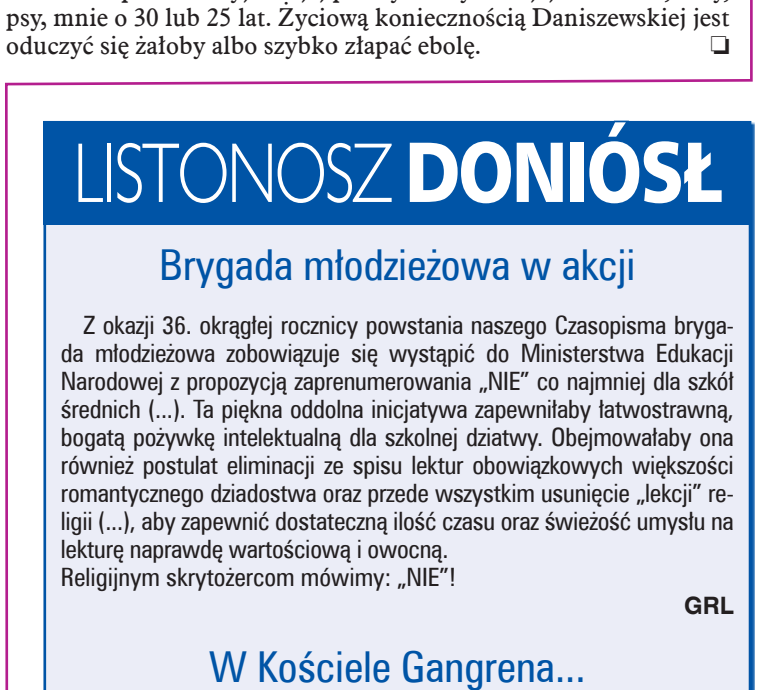
Świętej Bertilii

Nie wzbudzają współczucia ciężko chore dzieci ogólnie. Łzy wyciska tylko konkretny, ukazany w mediach egzemplarz. Jeśli telewizja z talentem wzbudzi czułostkowe współczucie do któregoś Wojtka, płyną pieniądze na operację za granicą, kosztowne ponadnormatywne leki i szczególną opiekę. Większość chorych będących w tej samej sytuacji umiera z zazdrości, a potem naprawdę. Te zbiórki przypominają selekcje na rampie w Oświęcimiu, gdzie dr Mengele komenderował: ty będziesz żyć, a ty do gazu. Dobroczynność adresowana personalnie urąga równości w traktowaniu chorych, ale w kapitalizmie i tak jej nie ma. Więc o co się pieklić?

PS Księża są to ludzie, którzy na ogół nie wierzą w Boga, ale w religię zawsze.

Świętej Sylwii

„Polityka" informuje, że właściwości organizmów u Tybetańczyków wskazały genetykom, że są oni potomkami nie tylko homo sapiens, ale



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

i innego wymarłego rodzaju ludzi. Były te ssaki ludźmi, gdyż krzyżowały się z homo sapiens, wydając wspólnych potomków. Relacja kończy się tam, gdzie zaczyna być ciekawie. Odkrycie to po raz pierwszy w sposób naukowy wydaje się wspomagać rasizm. Przy tym zaczynają się schody dla teologów. Czy inne niż my, wymarłe gałęzie ludzi miały dusze nieśmiertelne i grzech pierworodny na grzbiecie? Gdyby przeżyły, to czy prof. Chazan mógłby ich samicom dokonywać aborcji? Czy Chrystus umarł na krzyżu także dla tych naszych wymarłych krewnych, którzy nie byli sapiens? Pilnie wymaga to papieskich rozstrzygnięć.

Świętej Kariny

Każdy dzień Daniszewskiej to ćwiczenia jogowe, kilometry na rowerze, marsze z psami i kotem Benedyktem lub jej przyjacielem człowiekiem Wojtkiem, pływanie, masaż wodny lub suchy. Wieczorem po butelce whisky często chadza sobie jeszcze na czworakach. I zapomniałem o wdychaniu przez nią zdrowego nawadnianego powietrza w tężniach. Można więc prognozować, że Daniszewska pożyje jeszcze 35 lat. Dwa miesiące temu zaginął bezpowrotnie jej ulubiony kot z pewnością już świętej pamięci. Daniszewska wciąż go szuka i rozpacza. Przyjdzie jej przeżyć wszystkie jej zwierzaki, koty, psy, mnie o 30 lub 25 lat. Życiową koniecznością Daniszewskiej jest oduczyć się żałoby albo szybko złapać ebolę. ❑



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Brygada młodzieżowa w akcji

Z okazji 36. okrągłej rocznicy powstania naszego Czasopisma brygada młodzieżowa zobowiązuje się wystąpić do Ministerstwa Edukacji Narodowej z propozycją zaprenumerowania „NIE" co najmniej dla szkół średnich (...). Ta piękna oddolna inicjatywa zapewniłaby łatwostrawną, bogatą pożywkę intelektualną dla szkolnej dziatwy. Obejmowałaby ona również postulat eliminacji ze spisu lektur obowiązkowych większości romantycznego dziadostwa oraz przede wszystkim usunięcie „lekcji" religii (...), aby zapewnić dostateczną ilość czasu oraz świeżość umysłu na lekturę naprawdę wartościową i owocną.
Religijnym skrytożercom mówimy: „NIE"!

GRL

W Kościele Gangrena...

Statystycy katoliccy podali aktualną liczbę seminarzystów diecezjalnych i zakonnych przygotowujących się do fachu księdza. Cieszy mnie, że liczba seminarzystów nieubłagalnie spada i np. w 2024 r. było ich jeszcze ogółem 1594, w 2025 r. 1453, czyli mniej o 141, a teraz jest ich tylko 1372, czyli licząc rok do roku mniej o dalszych 81 kleryków.

(...) Jedną z przyczyn jest wstyd kształcenia się do zawodu księdza w związku z medialnymi doniesieniami na temat wyczynów księży (...). Drugą przyczyną jest tolerancja dla gejów, którzy obecnie nie muszą się już jak kiedyś chować po seminariach, plebaniach i klasztorach, nie muszą oszukiwać i mówić „poczułem powołanie", a „powołanie" to było w bardzo wielu przypadkach najnormalniejszym w świecie gejostwem. W KK jest wielu gejów i jak podają media, im mają wyższe stanowiska, tym jest ich więcej, gdyż często awanse kościelne dokonywane są metodą „przez łóżko" i często geje ci są dla odwrócenia uwagi zakłamani i bardzo homofobiczni. (...) Parę lat temu ówczesny red. nacz. katolickiego tygodnika (...) diecezji warszawsko-praskiej „Idziemy" ks. Henryk Zieliński pisał: „Traktowanie kapłaństwa jako »gay profession« stało się dla Kościoła gangreną".

Czytelnik

...i samobójstwa

Zadziwiająco często media podają informacje o samobójstwach księży lub lakonicznie informują o ich „tragicznej śmierci", co najczęściej oznacza samobójstwo.

Biskupi lub przełożeni zakonni szybko organizują pogrzeb, niewygodny temat zamiatają pod dywan, a przyczyna i motyw śmierci przestaje istnieć w przestrzeni medialnej.(...)

Z moich obserwacji i przemyśleń wynika, że księża funkcjonują w wyjątkowo toksycznym środowisku zawodowym i są pomiatani przez przełożonych (...), przenoszeni są z jednego miejsca na drugie (...) pozbawieni są normalnego życia rodzinnego (...) i erotycznego i wtedy na skutek frustracji i depresji są krok od samobójstwa.

Czytelnik

eprasa.pl d670026849

Mądrość po szkodzie

Doświadczenie historyczne a polityka narodowa



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W 1939 r. polski rząd, popierany w tym względzie przez większość narodu, odrzucił perspektywę sojuszu tak z Niemcami, jak i z Rosją – i wybrał ewentualność konfliktu z Niemcami, nawet wspieranymi przez Rosję, oraz sojusz wojenny z mocarstwami zachodnimi, po których nie można było spodziewać się realnej i natychmiastowej pomocy wojskowej.

Był to wariant polityki doraźnie najbardziej ryzykowny i – niezależnie od takich czy innych błędów w prowadzeniu wojny z Niemcami – skazany na początkową klęskę ze względu na dysproporcję sił.

Był to jednak wybór słuszny w wymiarze historycznym. Wiązał bowiem Polskę z obozem politycznym i wojskowym silniejszym i mającym większe szanse zwycięstwa – a poza tym sympatyczniejszym. Najmądrzejsi ówcześni politycy i wojskowi tak to oceniali. Po obu stronach.

Nawet szef sztabu generalnego Wehrmachtu gen. Ludwig Beck, ustępując ze stanowiska jesienią 1938 r., napisał w pożegnalnym rozkazie, że „zwycięstwo Niemiec w wojnie, do której zmierza Hitler, jest niemożliwe”.

Widmo dwóch wrogów

Dokonując generalnie trafnego wyboru i podejmując związane z tym ryzyko klęski w pierwszej fazie wojny, ten rząd, a właściwie już jego emigracyjni następcy, nie wyprowadził później z tego wyboru właściwych wniosków. I przez to skazał swoją politykę wojenną na całkowite niepowodzenie, stwarzając zagrożenie dla żywotnych, obliczonych na dziesięciolecia interesów narodu. Mam na myśli pozbawioną realizmu i szans „politykę dwu wrogów” opartą na nadziei, że w rozpoczynającym się konflikcie mocarstwa zachodnie przeciwstawią się nie tylko Rzeszy hitlerowskiej, ale – w interesie polskim – również stalinowskiej Rosji. Mocarstwa zachodnie nie kryły, iż nie mają takiego zamiaru. Więcej: iż oczekują w niezbyt dalekiej przyszłości sojuszu wojennego ze Związkiem Radzieckim w wojnie z Niemcami.

Ciekawe, że przedstawiciele Polski oficjalnej na emigracji nigdy nie dociekali podstawy takich poglądów, wyrażanych zresztą publicznie zwłaszcza przez Winstona Churchilla. Ubolewano, ale nie dyskutowano. Ta rozbieżność stanowisk w łonie koalicji antyhitlerowskiej pogłębiała się błyskawicznie, gdyż bieg czasu potwierdzał racje mocarstw zachodnich, a rząd polski na wychodźstwie trwał przy swoim.

Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych z uwagą i nadzieją monitorowały koncentrację wojsk niemieckich przy granicy ze Związkiem Radzieckim wiosną 1941 r. I wyprowadzały z niej wnioski. Rząd polski na emigracji raczej zbywał tę koncentrację – traktując ją jako szantaż niemiecki w celu wymuszenia na ZSRR hojniejszych dostaw, a nie zapowiedź wojny. Dokładnie tak samo traktował ją zresztą Stalin.

Po wrześniowym niemieckim ataku na Polskę mocarstwa zachodnie lojalnie wypowiedziały Niemcom wojnę, choć do skutecznych działań wojennych nie były jeszcze gotowe. Klęską Polski się nie przejęły; oceniły, że uwolnią nasz kraj w wyniku ostatecznego zwycięstwa nad Niemcami. Nie przejęły się też paktem Hitlera ze Stalinem, trafnie odczytując jego tymczasowość. Marzyła się im odbudowa układu sił z poprzedniej wojny światowej: Rosja w koalicji antyniemieckiej. Powrót takiej koalicji publicznie wieścił Churchill. W swoich wystąpieniach publicznych uporczywie nazywał Związek Radziecki Rosją i nie krył nadziei, że będzie ona sojusznikiem Wielkiej Brytanii. I nie pomylił się.

Wprawdzie gdy 20 czerwca 1941 r. w czasie wspólnego golfa usłyszał od ambasadora USA, że amerykański wywiad spodziewa się wybuchu wojny Niemiec z ZSRR lada dzień, odrzekł: „Brzmi to zbyt pięknie, aby było prawdą!”. Ale dwa dni później – gdy w porannej kąpieli zastali go szef sztabu imperialnego i szef Foreign Office z informacją o rozpoczęciu właśnie wojnie na wschodzie – nie był zaskoczony. Wydał swemu sekretarzowi krótkie polecenie: „Zawiadom BBC, będę mówić wieczorem!”.

Sojusz Winstona z Belzebubem

O 21.00 rozpoczął jedno z najważniejszych wystąpień w życiu. Poinformował rodaków o nowej sytuacji. Oświadczył też: „Przez 20 lat byłem głównym wrogiem komunizmu w świecie. Niczego, co w tym charakterze powiedziałem, nie wycofuję. Ale dziś to już nie ma żadnego znaczenia. Oni walczą z Hitlerem i jesteśmy bez reszty po ich stronie!”. Dodał , że gdyby Hitler napadł na piekło, znalazłby właściwe słowa dla zarekomendowania Izbie Gmin sojuszu z Belzebubem. Zadeklarował wszelką niezbędną pomoc Rosji w tej wojnie. Również w imieniu Stanów Zjednoczonych; to także miał uzgodnione. Franklin Delano Roosevelt – w listopadzie 1940 r. po raz trzeci wybrany prezydentem USA – nie mógł zebrać w Kongresie większości do wypowiedzenia wojny hitlerowskiej Rzeszy, ale robił wszystko co w jego mocy, aby wspierać Wielką Brytanię. Pozostawał w stałym kontakcie z Churchillem.

W grudniu 1941 r. Hitler – na własną zgubę – wypowiedział wojnę Stanom. Roosevelt został nie tylko faktycznym, ale również formalnym szefem antyhitlerowskiej koalicji, do której dołączył też Stalin. Powstała Wielka Trójka kierująca polityką i wojną. Polska ze swoją polityką dwu wrogów została w tej koalicji zmarginalizowana. W połowie 1943 r., z inicjatywy Roosevelta, polski rząd emigracyjny został wyłączony nie tylko z konsultacji, ale też z informacji. Decyzje dotyczące stosunków polsko-radzieckich podejmowano bez wiedzy strony polskiej.

W ten sposób na konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie (listopad 1943 r.) zadecydowano, że granica polsko-radziecka po wojnie przebiegać będzie według linii ustalonej jesienią 1939 r. między Niemcami i ZSRR; z niewielkimi korektami na rzecz Polski, które zaproponowała strona radziecka. Polska definitywnie traciła Kresy Wschodnie. W zamian miała otrzymać z ziem poniemieckich rekompensatę niezbędną dla osiedlenia 4 mln Polaków, którzy opuszczą Kresy. Churchill obliczył, że na to wystarczy Śląsk Górny i Opolski, Gdańsk z otoczeniem i część Prus Wschodnich.

Były to decyzje dla Polski katastrofalne – zostałaby zredukowana terytorialnie do rozmiarów niewiele większych od Kongresówki, bez szans na likwidację przeludnienia wsi. Na szczęście dla Polaków Stalin z własnej inicjatywy i z niejasną motywacją w połowie 1944 r. znacznie zwiększył tę rekompensatę: o cały Dolny Śląsk i wschodnie Pomorze, aż po Odrę i Nysę Łużycką – czyli do dzisiejszych rozmiarów. Tak zdecydowano na kolejnych konferencjach Wielkiej Trójki w Jałcie i Poczdamie.

W podobny sposób zapadały decyzje o trybie powołania powojennego rządu polskiego. Także o przyporządkowaniu Polski do radzieckiej strefy wpływów. We wszystkich tych kwestiach mocarstwa zachodnie przyjmowały za podstawę decyzji propozycje Stalina.

Ni szaga nazad

Niestety, wbrew temu, co utrzymuje nasza polityka historyczna, stanowisku mocarstw zachodnich trudno odmówić racji. Już w 1942 r. doszły one do wniosku, że bez Rosji radzieckiej – lub wbrew niej – wojny z Hitlerem nie wygrają. Wedle ocen amerykańskich pokonanie hitlerowskiej machiny wojennej wymagałoby ogromnych, kilkumilionowych ofiar ludzkich. Wielka Brytania takimi rezerwami nie dysponowała; Stany owszem, mogłyby je zmobilizować, ale społeczeństwo amerykańskie na to się nie godziło. Roosevelt już w czasie konferencji w Casablance (luty 1943 r.) doszedł do wniosku, że wygranie wojny z Hitlerem wymaga zespolenia radzieckiego potencjału ludzkiego z amerykańskim potencjałem gospodarczym. I do tego dostosował politykę wojenną.

Skutecznie. Ciężar ludzki wojny lądowej na europejskim teatrze poniosła Rosja radziecka, a brakujące jej środki materialne, wyposażenie przemysłu, surowce, żywność, sprzęt łączności, odzież – w nieograniczonej ilości i praktycznie za darmo – dostarczyły Stany Zjednoczone. Zbudowane na Syberii odlewnie amerykańskie produkowały nowoczesne wieże do radzieckich T-34, czerwonoarmiści ubierali się w amerykańskie sukno, jedli amerykańską wieprzowinę, rozmawiali przez amerykańskie radiostacje polowe…

Na froncie wschodnim poległo blisko 5 mln żołnierzy Wehrmachtu, 80 proc niemieckiego potencjału. Nie jest prawdą, że to zwycięstwo stalinowski reżim okupił bezmyślnym szafowaniem życiem żołnierzy. W ogólnym bilansie wojennych strat wyglądają one racjonalnie – choć wstrząsająco. Niemcy – przy potencjale ludnościowym 72 mln – straciły w II wojnie światowej 6 mln żołnierzy poległych lub zmarłych z ran. Związek Radziecki – przy potencjale 150 mln ludności – stracił 8 mln żołnierzy. Jedynie w kilku początkowych miesiącach wojny straty te były rażąco nadmierne, powodowane bezmyślnym i realizowanym przy pomocy NKWD rozkazem Stalina: „Ni kroku wstecz!”. Za próby racjonalnego odwrotu rozstrzelano całe dowództwo Frontu Białoruskiego; Iwana Koniewa – późniejszego zdobywcę Berlina – od podobnego losu uratował Żukow. Dopiero pod koniec 1941 r. w czasie bitwy o Moskwę generalicja wymusiła na Stalinie rozsądek.

Nieco wcześniej wódz naczelny szalał. We wrześniu 1941 r. zwymyślał od tchórzy dowodzącego 700-tysięcznym frontem ukraińskim gen. armii Kirponosa – za propozycję racjonalnego odwrotu znad Dniepru ku Desnie, aby uniknąć okrążenia. Rozkaz Stalina spowodował, że Wehrmacht okrążenie zrealizował. Po wyczerpaniu zapasów do niewoli poszło 600 tys. czerwonoarmistów, a gen. Kirponos zginął jak prosty żołnierz, z karabinem w ręku, przy próbie wyrwania się z otoczenia. Szef sztabu generalnego Wehrmachtu w latach 1938–1942 generał Franz Halder zanotował we wrześniu 1942 r.: „Na Ukrainie wszystko wygląda tak jak przed rokiem, nasze wojska idą naprzód równie szybko. Ale to nie ta sama wojna. Nie ma tysięcy jeńców i masy porzuconego sprzętu. Przeciwnik odchodzi w ordynku, nawet rannych zabiera”… U kresu tego odwrotu był Stalingrad i zagłada 6. Armii niemieckej. Od tego czasu straty radzieckie mniej więcej równoważą się z niemieckimi.

Nowe czasy, stare błędy

Polskie elity i większość społeczeństwa wciąż myślowo nie przyswoiły wniosków z II wojny światowej. W najlepsze trwa kult teorii dwu wrogów i brak przemyślenia jej zgubnych konsekwencji. Głoszone przez IPN i niestety rozpowszechnione wyobrażenia o tej wojnie, o jej powodach i skutkach odbiegają od przyjętych w nauce i upowszechnionych w świecie. Co gorsza , dawne przesądy obecnie odżywają w postaci dostosowanej do nowych warunków i wywierają szkodliwy wpływ na politykę. Teoria dwu wrogów sprzed 80 lat odradza się w postaci złych sąsiadów na wschodzie i na zachodzie, którzy zagrażają ojczyźnie: Rosja ze wschodu wojną, a Niemcy z zachodu wasalizacją za pomocą UE i Brukseli. Przed oboma zagrożeniami musimy szukać zbawienia za Atlantykiem.

Zagrożenie wschodnie ma realne podstawy, choć jest obecnie grubo przesadzane. Podzielam opinię eksperta Onetu Witolda Jurasza, że

aktualnie po stronie rosyjskiej brak rzeczowych – innych niż propagandowe – przygotowań do zamierzonej podobno wojny z krajami NATO. Przede wszystkim odpowiedniej koncentracji i mobilizacji wojsk. Rosji wojsk nie wystarcza nawet na wojnę z Ukrainą, tysiącami wynajmuje obcokrajowców

– głównie Koreańczyków. Ale quasi-wojenną propagandę uprawia, momentami akty dywersji też.

Rzecz jednak w tym, że na wschodzie Polska również pielęgnuje i momentami zaostrza konflikt historyczny sprzed 80 lat z Ukrainą. Bez zrozumienia, że narzucający polityczny ton w wojnie z Rosją ukraińscy nacjonaliści wielbią UPA nie za rzezie wołyńskie – których nie pochwalają – lecz za jej heroiczną walkę o niepodległość ze Związkiem Radzieckim. Upowcy w tej walce polegli prawie do ostatniego i pozostawili tylko pamięć. Tej Ukraina się nie wyrzeknie, bo innej nie ma.

Stronie polskiej to niczym nie zagraża i kontynuacja tego konfliktu nie ma sensu. Niedawna wymiana ciosów orderowych tylko śmieszy, w świecie nie ma precedensów, chyba że na wojnie. Ale czy o to nam chodzi?

Ciągle nie chcemy Wrocławia?

Zupełnie zaś irracjonalne, a skądinąd niebezpieczne, są obserwowane od dekady na prawej stronie sceny politycznej próby wznowienia konfliktu polsko-niemieckiego w celu wykorzystania go w rozgrywce wewnętrznej z PO, bez innych dostrzegalnych powodów i racji rzeczowych.

Polska po II wojnie światowej miała poważny konflikt z Niemcami o granicę na Odrze i Nysie. Tak daleko na zachód granicę polską przesunęli alianci w 1945 r. Notabene, ówczesny rząd emigracyjny przed tym się wzbraniał. „Nie chcemy Wrocławia ani Szczecina! Chcemy Lwowa i Wilna!” – pisał premier tego rządu Tomasz Arciszewski. Jednak taką granicę dostaliśmy – z inicjatywy Stalina i za zgodą całej Wielkiej Trójki w Jałcie i Poczdamie. Okazała się zbawienna cywilizacyjnie. Otrzymaliśmy prawie 20 proc. terytorium przedwojennych Niemiec: tereny dość dobrze doinwestowane i puste po wysiedleniu niemieckiej ludności. Mimo pewnego ograbienia przez „wyzwolicieli”, dzięki tej pustce ziemie te przedstawiały wielką wartość. Nie tylko majątku publicznego, ale też znacznie większego prywatnego. Co ważniejsze, pojemność ludnościową tych ziem szacowano na 7–8 mln. Tymczasem do Polski powróciły ze wschodu ok. 3 mln. Powstała znaczna rezerwa osiedleńcza na ziemiach zachodnich, która pozwoliła w krótkim czasie rozwiązać podstawowy problem społeczny Polski: przeludnienie wsi.

W pierwszych dziesięcioleciach po wojnie Republika Federalna Niemiec i całe Niemcy kwestionowały tak znaczne okrojenie ich terytorium – i przez 20 lat cieszyły się w tym względzie poparciem całego NATO z wyjątkiem Francji. Spędzało to sen z powiek Gomułki, który ponadto nie był pewny gwarancji radzieckich dla polskiej własności tych ziem – i nie były to obawy bezpodstawne. Sądził, że upłyną co najmniej trzy pokolenia, zanim naród niemiecki zaakceptuje swoją nową sytuację terytorialną. Okazało się jednak, że zjednoczone przy poparciu ZSRR i Polski Niemcy wyzbyły się politycznej nostalgii po utraconym wschodzie w ciągu jednego pokolenia.

Był to prawdziwy cud, który Polska powinna docenić. Niestety, polska prawica z powodów egoistycznych wystawiła tę znakomitą sytuację w relacjach z Niemcami na ryzyko poprzez wysunięcie wobec Niemiec bardzo wygórowanych i już przedawnionych pretensji reparacyjnych z tytułu szkód wojennych. Doszło do tego w 70 lat po wojnie, a 35 lat po traktacie pokojowym zawartym przez zwycięskie mocarstwa z dwoma państwami niemieckimi (Traktat 4+2), który w samym tytule mówił o „ostatecznych postanowieniach w kwestii Niemiec” i ani słowem nie wspomniał o reparacjach i odszkodowaniach. Rząd niemiecki uprzejmie, ale stanowczo odrzuca polskie pretensje. Ale ryzyko pozostaje. Te pretensje reparacyjne, niebiorące pod uwagę wartości otrzymanych przez Polskę 20 proc. terytorium Niemiec, mogą obudzić w tym kraju demona nacjonalizmu i rewanżyzmu. Ostatnie sukcesy wyborcze nacjonalistycznej i populistycznej partii AfD nie są pomyślnym prognostykiem. Na szczęście AfD odnosi te sukcesy jak dotychczas tylko w landach wschodnich (dawnej NRD). Ale lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

ANDRZEJ WERBLAN

eprasa.pl d670026849

GADMAN

Batyr czy Papkin

Silny wobec słabych, słaby wobec silnych

Prezydent podpisał ustawę i dostał za to baty. Od swych przeciwników i zwolenników. Premier Tusk z szelmowskim uśmiechem drwił w internecie z napinania muskułów przez prezydenta Nawrockiego. Zakończonych spektakularnym odwrotem. Drwił powściągliwie, bo tak pewnie polecili mu jego piarowcy. Radość swą tonowali też inni liderzy koalicji rządzącej. Ale prywatnie przyznawali, że „niewiele osób w rządzie przypuszczało, że Nawrocki pęknie w tej sprawie". I radują się, że „pęka wizerunek twardego szeryfa i pogłoski o jego słynnej twardości i niezłomności okazały się mocno przesadzone". Wiedzą jednak, że jeden podpis prezydencki nie zmienia relacji między nim a premierem. Wojna trwa.

Koło ratunkowe

Prezydent Nawrocki zaskoczył swych zwolenników akceptacją ustawy o opodatkowaniu nadmiernych zysków koncernów paliwowych. Uczynił to zaraz potem, kiedy prawicowa opozycja zgodnie zagłosowała w sejmie przeciwko tej ustawie. Była przekonana, że prezydent zawetuje ją tak jak poprzedni podobny projekt ustawy. Nic dziwnego, że jej medialnym liderom nerwy puściły. Konfederacja ustami Przemysława Wiplera oskarżyła prezydenta o złamanie deklaracji toruńskiej – umowy podpisanej w czasie kampanii prezydenckiej przez Karola Nawrockiego i Sławomira Mentzena. W niej kandydujący na prezydenta Nawrocki zobowiązał się do niepodpisywania żadnych ustaw podnoszących podatki, jeśli prezydentem zostanie. Do chóru krytyków prezydenta wpisał się też Mentzen i inni konfederaci. Prezydenta krytykowali też posłowie Rozwoju Plus i PiS-u. „Musimy teraz zjadać własny język" – mówili, prosząc o anonimowość.

Ale publicznie z krytycznego chóru wyłamali się politycy PiS-u. W mediach chwalili decyzję prezydenta, choć głosowali przeciwko ustawie. „To bardzo, bardzo dobra decyzja, choć trudna. Nie ulega wątpliwości, że rządzący próbowali pana prezydenta wepchnąć w konflikt z kierowcami. Mieli sporo możliwości, ale wymyślono sobie, że za ceny paliw odpowiada prezydent" – wyjaśniał pisowskiemu ludowi wyborczemu poseł Zbigniew Kuźmiuk. Wieloletni mistrz medialnych wykrętów. Znam Zbyszka Kuźmiuka z czasów, kiedy był posłem PSL i moim koalicyjnym kolegą w początkach tego wieku. Wtedy też wszystko potrafił uzasadnić.

Prywatnie wszyscy rozsądni zwolennicy prezydenta uważają, że podpis to katastrofa wizerunkowa. Gdyby Nawrocki za pierwszym razem ustawę podpisał, nie byłoby hałasu. Potem poczekałby na ustalone przez rząd Tuska ceny. I wtedy mogliby krytykować go, że ceny paliw są za wysokie. Powtarzać mantrę o obiecanym przez Tuska litrze benzynie po 5 zł.

A tak prezydent wpadł w zastawioną przez niego medialną pułapkę. Przyklejono mu wizerunek hamulcowego obniżek cen paliw. Nie wiadomo, czy prezydenccy piarowcy i przychylne mu media zdołają ją szybko odkleić.

Spadanie

Prezydent musiał pogodzić się z porażką, bo nie dało się uzasadnić dalszego blokowania ustawy. Jeśli po jednej stronie masz rzesze głosujących obywateli, a po drugiej koncerny paliwowe, potencjalnych sponsorów, to lud głosujący jest jednak od kasy ważniejszy. Tak widać uznawali doradcy prezydenta. Jeśli wierzyć rozmówcom portalu Interia, prezydent ugiął się pod presją nie tyle ekipy rządzących, co sondaży. Wedle nich jego wyborcy oczekiwali prezydenckiego podpisu. Dodatkowo pojawiły się badania zaufania społecznego. W nich prezydent Nawrocki choć wciąż przoduje, to wpadł w trend spadkowy. Zaufanie ludu wyborczego stale straci.

Co gorsza do poziomu jego zaufania zbliża się drugi w rankingach wicepremier Radek Sikorski. Uważany za kandydata Koalicji Obywatelskiej w przyszłych wyborach prezydenckich. Dodatkowo polscy politycy uważają, że czułym punktem, piętą achillesową prezydenta Nawrockiego jest utrata pierwszego miejsca w rankingach zaufania. Zwłaszcza że każdy polski prezydent miał w takich sondażach zwykle dużą przewagę nad innymi politykami. Kiedy ją tracił, to potem przegrywał kolejne wybory. Jeśli Nawrocki straciłby pierwsze miejsce, byłby to sygnał, że z jego prezydenturą źle się dzieje.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dodatkowo prezydent Nawrocki nie ma ostatnio dobrej passy. Wisi nad nim afera Zondacrypto. Na razie wiemy, że prezydent wetował ustawę o kryptoaktywach, która dawała polskiej administracji instrumenty do kontroli tego rynku. Wcześniej zaplecza organizacyjne PiS-u i Konfederacji garściami brały pieniądze od Przemysława Krala, szefa upadłej aferalnej giełdy.

Potem wyszła na jaw afera z prywatną fundacją byłych pisowskich menedżerów, którzy zarabiali na pakietach sponsorskich podczas organizacji imprez pod patronatem głowy państwa.

Zapewne doradcy prezydenta Nawrockiego popełnili błąd, namawiając go do wytoczenia procesu Onetowi za artykuł o jego niechlubnej działalności, kiedy był ochroniarzem w sopockim Grand Hotelu. Zwykle taki proces trwa jak brazylijski serial. Każdy zwrot akcji wraca do mediów. To sprawi, że opinia publiczna wciąż będzie roztrząsać kwestię, czy młody Nawrocki eskortował bezpruderyjne panie hotelowym klientom.

Niedawno znany biznesmen Rafał Brzoska publicznie zaapelował do prezydenta Nawrockiego o inne pilne działania. Oto w internecie pojawiły się fałszywe informacje o śmiertelnej chorobie żony prezydenta Marty Nawrockiej. Cynicznie zarabiające na jej popularności. Brzoska od miesięcy walczy z internetowymi kłamstwami. Bo poprzednio internetowi złodzieje zarabiali na wizerunku i popularności jego żony. I innych celebrytów też. Ci możliwi do identyfikacji internetowi złodzieje mogą być bezkarni, bo Nawrocki zawetował przygotowaną przez lewicę ustawę pozwalającą kontrolować platformy internetowe. Walczyć z takimi scamami. Prezydent Nawrocki blokuje też opodatkowanie zagranicznych gigantów zarabiających miliardy w Polsce na upowszechnianiu kłamstw i nienawiści między Polakami.

Czas ucieka

Prezydent Nawrocki ma cztery lata do wyborów. Do tej pory jego prezydentura miała jeden cel: robić wszystko, by koalicja Tuska przegrała kolejne wybory parlamentarne. Udowodnić, że nie potrafi rządzić. Nie jest skuteczna. Ale koalicja nauczyła się obchodzić zawetowane przez niego ustawy. Okazało się, że dzięki praktyce administracyjnej można zapewnić większość praw małżeństwom jednopłciowym pomimo weta. Można załatwić pożyczki na zbrojenia pomimo prezydenckich blokad. Można wykorzystać prezydencki paraliż Trybunału Konstytucyjnego na korzyść rządzącej koalicji. Niepokojącym sygnałem dla prezydenta jest, że blisko dwie trzecie sondażowanych Polaków uważa, iż konflikt między rządem a prezydentem utrudnia reakcje na zagrożenia dla bezpieczeństwa Polski. Wśród nich niewielka większość winą za takie „szkodzenie Polsce" obarcza prezydenta.

Po roku prezydentury Nawrocki jawi się jak krowa, która dużo ryczy, ale mleka daje mało. Jeśli nie odniesie sukcesu, pozostanie w opinii publicznej jedynie wetomatem.

Wielu jego zwolenników uważa, że pomnikową zasługą Nawrockiego może być baza amerykańskich żołnierzy w Polsce. Załatwiona przez prezydenta dzięki jego wspaniałym relacjom z prezydentem Trumpem. Ale baza nadal jest w sferze projektów. Po listopadowych wyborach do Kongresu i Senatu dowiemy się, jak silna jest pozycja Trumpa. Poza tym organizacja i budowa bazy potrwa przynajmniej kilka lat. Za jej realizację odpowiadać będzie rząd, nie Kancelaria Prezydenta.

Za to już w przyszłym roku Nawrocki będzie miał szansę dowieść swej skuteczności. Nie tylko w gębie, lecz w praktyce. Prezes Kaczyński zamierza podrzucić mu organizowanie paktu senackiego – zbudowania koalicji wszystkich opozycyjnych partii prawicowych i stworzenie wspólnej ich listy podczas wyborów do Senatu RP. Wedle sondaży taka koalicja może uzyskać niewielką większość jedynie z udziałem braunowskiej Korony. Partii uważanej przez amerykańskich sojuszników za antysemitów. A także agentów Rosji, Iranu i Chin. Rosyjską agenturę Korony trumpiści mogliby Nawrockiemu pewnie wybaczyć. Chińską też może. Ale miłość do Iranu i jawny antysemityzm plus błogosławieństwa klienckiego prezydenta to za dużo na „kwestię smaku" administracji USA.

Jeśli Nawrockiemu uda się pakt senacki, to straci prestiż w USA. Jeśli nie, to skarleje jego pozycja w Polsce. Każde osłabienie prezydenta Nawrockiego to miód na polityczne serce prezesa Kaczyńskiego. Lękającego się, że konfederacka gówniarzeria, a zwłaszcza rozłamowiec Morawiecki, będą mieć większe wpływy w dużym pałacu niż tak poważny polityk jak on.

Dlatego prezes podpisze się zapewne pod sentencją, że Nawrocki okazał się silnym wobec słabych, a słabym wobec silnych. Że miał być Batyr, a wyszedł Papkin. Zwłaszcza kiedy w roli Cześnika obsadzi się prezes.

PIOTR GADZINOWSKI

Asysta bez wsparcia

Sejm uchwalił ustawę o asystencji osobistej dla osób z niepełnosprawnościami w stopniu znacznym. Byłaby to świetna wiadomość, gdyby po brzytwie nie spuszczono postulatów organizacji pozarządowych, rzecznika praw obywatelskich, a w konsekwencji – części potrzebujących wsparcia. Czy senat uratuje twarz rządu?

Asystencja osobista (AOON) to rewolucja w myśleniu o niepełnosprawności. W przeciwieństwie do tradycyjnej opieki asystent nie wyręcza ani nie kontroluje, a staje się narzędziem do samodzielności osoby z niepełnosprawnością. Asystent nie decyduje, kiedy umyć zęby, pójść na kebaba czy do urzędu, po prostu pomaga załatwić sprawę i dotrzeć na miejsce. Dzięki dodatkowej parze rąk i nóg niepełnosprawni zyskują wolność wyboru, możliwość aktywności zawodowej i utrzymywania relacji społecznych. Rodziny łapią oddech, wszyscy są zadowoleni.

Śrubowanie idei

Polska zobowiązała się do wprowadzenia systemu w 2012 r., ratyfikując Konwencję ONZ o prawach osób z niepełnosprawnościami. Trochę się zeszło. Sejmowe prace nad ostatecznym kształtem nowych przepisów trwały od grudnia 2025 r. Dzięki zaangażowaniu dziesiątek organizacji, sojuszników, rodzin niepełnosprawnych udało się wypracować wytyczne, które miały szansę stać się realną inwestycją w poprawę jakości życia i przywrócenie społeczeństwu setek tysięcy osób wykluczonych przez wyskoki własnych ciał. Wprawdzie w październiku 2025 r. Rada Ministrów przyjęła projekt, ale w brutalnie wykastrowanej z istotnych elementów wersji. Mimo licznych uwag i poprawek ze strony społecznej i RPO manewr powtórzono we wrześniu, uchwalając ustawę. Poszło jak zwykle o kasę. Wiceminister rodziny, pełnomocniczka rządu ds. osób niepełnosprawnych Monika Sikora wyjaśniła, że

ze względu na ograniczenia budżetowe nie wszystkie rozwiązania proponowane przez stronę społeczną mogły być uwzględnione. Krótko mówiąc, niepełnosprawni zyskają tyle podmiotowości i samodzielności, na ile zezwolił resort finansów Andrzeja Domańskiego.

Aktualnie asystencja osobista realizowana jest przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w ramach czasowych programów dla samorządów i organizacji pozarządowych. Nie ma systemowego uregulowania usług asystenckich w taki sposób, żeby każda osoba potrzebująca miała do nich dostęp. Ustawa zakłada, że w 12 miesięcy od jej wejścia w życie w kraju zacznie działać powszechny system wsparcia. Mają je świadczyć opłacani przez państwo asystenci. Asystencja ma odpowiedzieć na indywidualne potrzeby w konkretnej sytuacji: zdrowotnej, rodzinnej, zawodowej, mieszkaniowej. Każdy przypadek będzie rozpatrywany na podstawie m.in. formularza samooceny i bezpośredniego wywiadu z potrzebującym.

AOON zorganizuje powiat. Będzie mógł to zrobić samodzielnie lub powierzyć zadanie np. organizacji pozarządowej. Ustawa zakłada,

Państwowy wybieg z kulkami

Polska administracja najlepiej sprawdza się w odwracaniu kota ogonem

Państwo polskie ma ministerstwa po to, żeby zajmowały się sprawami, którymi państwo zajmować się musi. Ministerstwo Sprawiedliwości powinno więc troszczyć się między innymi o sprawność wymiaru sprawiedliwości, praworządność i politykę penitencjarną, zaś Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi powinno myśleć o rolnikach, żywności i tym, żeby polska wieś nie dowiadywała się o swojej świetlanej przyszłości wyłącznie z ministerialnych komunikatów. Tak przynajmniej człowiekowi podpowiada logika. Administracja ma jednak tę przewagę nad logiką, że ma departamenty, wydziały komunikacji społecznej oraz rzeczników prasowych. Dzięki nim można obywatelowi wyjaśnić, że karaoke jest elementem prawidłowego wykonywania zadań publicznych, a modelka maszerująca po gmachu resortu rolnictwa może być bezkosztowym narzędziem promocji polskiego jabłka.

Sprawiedliwość w basenie

Najwyższa Izba Kontroli, sprawdzając wykonanie budżetu Ministerstwa Sprawiedliwości za 2025 r., natknęła się na wydatek o nazwie, która sama mogłaby wystarczyć za komentarz. Przedsięwzięcie nazywało się „Karnawałowy zawrót głowy". Odbyło się 18 stycznia 2025 r., czyli w czasach, gdy resortem kierował Adam Bodnar, i bynajmniej nie polegało na wspólnym czytaniu kodeksu postępowania karnego. Uczestników zabrano do The Tides nad Wisłą reklamującego swoją przestrzeń eventową jako miejsce nadające się między innymi na eleganckie bankiety, gale i imprezy okolicznościowe. Czekały tam na nich pokazy i warsztaty taneczne, karaoke, stanowiska z goglami VR, zajęcia plastyczne dla dzieci, robienie masek i ozdób karnawałowych oraz basen z kulkami. Wszystko kosztowało 163,6 tys. zł.

Nie byłoby w tym może niczego niezwykłego, gdyby Ministerstwo Sprawiedliwości było zakładem produkującym napoje gazowane, którego właściciel uznał, że chce urządzić za własne pieniądze bal dla załogi. Ministerstwo jest jednak jednostką budżetową, a pieniądze, którymi dysponuje, mają tę paskudną właściwość, że pochodzą od podatników. NIK uznała zatem wydatki na imprezę za niecelowe. Kontrolerzy przypomnieli coś, co najwyraźniej wymagało urzędowego przypomnienia: że budżet resortu służy finansowaniu jego ustawowych zadań. NIK wymieniła w tym miejscu między innymi zapewnienie praworządności i niezależności sądownictwa, poprawę efektywności postępowań oraz wzmacnianie standardów polityki penitencjarnej. Basenu z kulkami w tym katalogu nie znaleziono.

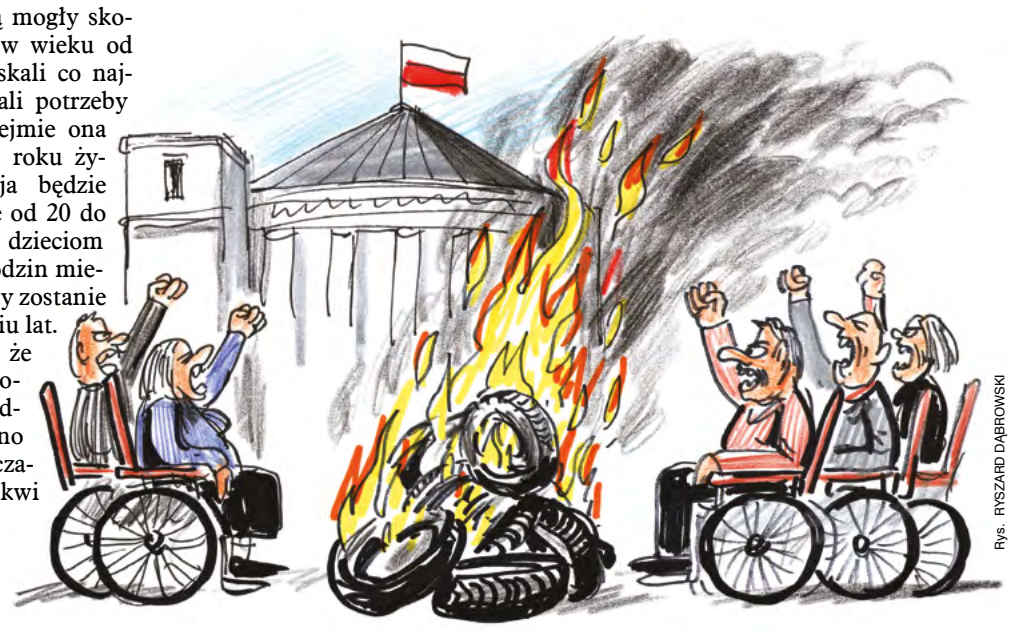
Policzono jednak bawiących się. W „Karnawałowym zawrocie głowy" uczestniczyły 564 osoby, ale pracownikami Ministerstwa Sprawiedliwości było tylko ok. 150. A zatem pracownicy stanowili mniej więcej 27 proc. wszystkich uczestników. Pozostała grupa obejmowała osoby delegowane do pracy w ministerstwie, współpracowników na umowach cywilnoprawnych, członków rodzin oraz osoby towarzyszące.

eprasa.pl d670026849

Kulawa ustawa

że z usług asystenta będą mogły skorzystać niepełnosprawni w wieku od 18 do 65 lat, którzy uzyskali co najmniej 80 punktów w skali potrzeby wsparcia. Od 2030 r. obejmie ona również młodzież od 13. roku życia. Dorosłym asystencja będzie przyznawana w wymiarze od 20 do 240 godzin miesięcznie, a dzieciom od 13 lat – od 20 do 80 godzin miesięcznie. Pakiet pomocowy zostanie przyznany na trzy do pięciu lat.

Brzmi na tyle nieźle, że przeciętny wyborca nie zrozumie niuansów. Rząd odtrąbi sukces, że dotrzymano obietnic – i święto. Tymczasem diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Kogo kijem, kogo pałką

Kryterium otrzymania asystencji ustalono na minimum 80 punktów w tzw. skali potrzeb wsparcia (skala zamyka się w widełkach 0–100 punktów). To narzędzie urzędowe, które służy do oceny poziomu samodzielności w codziennym życiu. Na 100 punktów łapią się osoby, które we wszystkich ocenianych czynnościach życiowych wymagają stałej, intensywnej pomocy innych – zarówno w dzień, jak i w nocy: chorzy w stanie wegetatywnym, z czterokończynowym porażeniem mózgowym albo w skrajnym stadium choroby neurodegeneracyjnej. 80 punktów oznacza bardzo wysoki stopień zależności od innych, ale nie całkowity – pacjent jest w stanie wykonać niektóre proste czynności wokół siebie, jednak w większości kluczowych sfer życia wymaga regularnej pomocy lub stałego nadzoru.

Obniżenie tego progu przynajmniej do 70 punktów próbowała wynegocjować strona społeczna. Dla przykładu: ktoś, kto porusza się na wózku i ma na tyle sprawne ręce i głowę, żeby samodzielnie zjeść posiłek i umyć zęby, otrzyma takich punktów 75. Kłopot w tym, że nie dojedzie autobusem do lekarza ani nie zrobi zakupów. O dyskryminacji alarmowali też przedstawiciele niewidomych i niesłyszących. Będą oni pozbawieni pomocy, bo otrzymują najczęściej 50–60 punktów. Skutkiem tego dziesiątki tysięcy ludzi nadal nie będą mogły wyjść z domu czy podjąć pracy. Wszyscy wnioskodawcy niestety gówno wskórali.

Zgodnie z ustawą niepełnosprawni, którzy dociągną do 65. urodzin, mogą liczyć na pomoc osobistego asystenta tylko pod warunkiem, że prawo do tej asystencji nabyły wcześniej – i będzie im się należała tylko od końca okresu, na który została wydana decyzja. Jeśli zatem hipotetyczny pan Ryszard z czterokończynowym porażeniem mózgowym załapie się na AOON w wieku 61 lat, w dniu 66. urodzin zobaczy wielki środkowy palec rządu.

Strona społeczna zwracała uwagę, że niepełnosprawność nie wyparowuje po 65. roku życia, a odcinanie seniorów od asystencji na rzecz tradycyjnych, mniej elastycznych usług opiekuńczych jest formą dyskryminacji ze względu na wiek. Rzecznik praw obywatelskich Sylwia Gregorczyk-Abram w swoim stanowisku z 16 września wskazała, że ustalenia rządu opierają się na stereotypowym założeniu, że osoby 65 plus nie pozostają w zatrudnieniu lub nie wracają na rynek pracy. Ponadto wprowadzone kryterium wieku powinno szanować potrzeby i autonomię osób starszych, także poza sferą aktywności zawodowej.

Jakby tego było mało, Konwencja o prawach osób niepełnosprawnych stanowi, że państwa, które ją ratyfikowały, uznają równe prawo wszystkich niepełnosprawnych do życia w społeczeństwie. Wszystkich – czyli bez względu na wiek. Nasze państwo miało te argumenty w pompie.

Oszczędzają bogaci

Widełki od 20 do 240 godzin wsparcia AOON dla dorosłych brzmią sensownie, ale jeśli patrzy się na nie z pozycji osoby względnie samodzielnej. RPO w opinii skierowanej do marszałka sejmu Włodzimierza Czarzastego zauważyła, że dolny limit godzin asystencji został obniżony względem poprzednich projektów – i to aż o 10; początkowo miało ich być 30.

240 godzin miesięcznie to średnio niespełna osiem dziennie (zresztą w pierwszych latach obowiązywania ustawy maksymalna pula nie będzie przyznawana). Tymczasem osoby z 80 punktami na kwicie mogą do prowadzenia w miarę normalnego życia wymagać asysty całodobowej.

O wyższe pułapy godzinowe dla osób z najcięższymi niepełnosprawnościami wnioskowały też NGO. Pojawił się także koncept przenoszenie niewykorzystanych godzin na kolejny miesiąc – np. gdy ktoś trafi do szpitala. Ostatecznie będzie można przenieść maksymalnie 50 proc. miesięcznego limitu i jednocześnie nie więcej niż 100 godzin. Promocja nie obowiązuje na przełomie roku. Wszystkie godziny, które zostają na koniec grudnia, przepadają.

Sporo kontrowersji wzbudziło zabezpieczenie prawne i finansowe asystentów. Również nad tym problemem pochylił się RPO. Forma prawna umowy łączącej asystenta z OzN pozostaje – delikatnie mówiąc – niejasna. Z zapisów ustawy wynika, że jako podstawę świadczenia asystencji osobistej na rzecz umowy zlecenia, ewentualnie kontraktu B2B. Z drugiej strony przepisy ustanawiają coś na kształt urlopu wypoczynkowego. Mowa więc o hybrydzie etatu i zlecenia. To przedmurze burdelu przy interpretacji wzajemnych praw i obowiązków oraz sporów na tle ich wykonywania.

W ustawie zabrakło precyzyjnych mechanizmów corocznej, automatycznej waloryzacji stawek asystentów, np. powiązanej ze wzrostem płacy minimalnej. Strona społeczna wnioskowała o stabilność zatrudnienia przez wdrożenie systemowych poprawek, niestety bez echa. Tymczasem bez godnych zarobków zwyczajnie zabraknie chętnych do wykonywania tak ciężkiej roboty.

Podsumowując: ustawa ma mnóstwo wad, będzie też trudna do wdrożenia, bo założono zbyt niskie koszty organizacji usługi. Ostatnia nadzieja w senacie, który ma szansę naprostować wszelkie krzywizny tego glejtu. Ciężko powiedzieć, jakie są na to szanse.

Osoby z niepełnosprawnościami nie będą palić opon pod sejmem i machać łańcuchami w stronę polityków. Nie żeby nie chciały. Nie mają czasu między kolejnymi komisjami opiniującymi ich zdrowie, na których muszą udowadniać, że z respiratorem na plecach i dupą na wózku nie pobiegną w maratonie, cichaczem ciągnąc państwowy socjal. Póki co ustawa o AOON najbardziej cieszy polityków, chociaż nie ma rąk i nóg.

IDALIA DUBICKA

jaśnił, że ci ostatni nie weszli tam ot tak, tylko zostali wcześniej formalnie zgłoszeni. To niewątpliwie wiadomość krzepiąca. Państwowy basen z kulkami nie był anarchią. Obowiązywały wszak procedury.

Jeśli koszt 163 600 zł podzielić przez 564 uczestników, wychodzi około 290 zł na głowę. Jeśli natomiast czysto rachunkowo odnieść całą kwotę do około 150 pracowników resortu, otrzymujemy ponad 1090 zł na jednego zatrudnionego.

NIK zwróciła właśnie na to uwagę. Stwierdziła, że przedsięwzięcie nie było związane z działalnością ustawową ministerstwa, a znaczna część pieniędzy została wydana na osoby niebędące pracownikami urzędu. Izba wskazała przy tym rozwiązanie – jeśli pracodawca chce organizować pracownikom rekreację albo przedsięwzięcia kulturalne, istnieje coś takiego jak Zakładowy Fundusz Świadczeń Socjalnych. Nie trzeba do tego używać pieniędzy przeznaczonych na wykonywanie zadań ministerstwa.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Karaoke komunikacyjne

Najciekawiej zaczęło być, gdy urzędnicy przystąpili do tłumaczenia tego, co właściwie wspólnego mają tańce i kulki z misją Ministerstwa Sprawiedliwości. Wydział Komunikacji Społecznej wyjaśnił zatem, że impreza była częścią komunikacji wewnętrznej, której celem było „przekazywanie pracownikom informacji od kierownictwa, zwiększanie transparentności organizacyjnej oraz wzmacnianie identyfikacji pracowników z urzędem". Sam resort poszedł dalej, oświadczając, że podobne działania mieszczą się w „nowoczesnym i powszechnie akceptowanym modelu zarządzania administracją publiczną", w którym dobra komunikacja wewnętrzna ma warunkować właściwą realizację zadań publicznych.

Karaoke jest narzędziem komunikacji wewnętrznej. Basen z kulkami służy wzmacnianiu identyfikacji z urzędem. A rodzinne wykonywanie masek karnawałowych można najwyraźniej wpisać gdzieś między transparentność organizacyjną a prawidłową realizację zadań publicznych.

Ministerstwo Sprawiedliwości zarówno broniło sensu przedsięwzięcia, jak i przyjęło zalecenia NIK. Zapowiedziało, że następne imprezy integracyjne nie będą już finansowane bezpośrednio z pieniędzy budżetowych, lecz z „innych, właściwych źródeł". Czyli impreza była potrzebna, nowoczesna i służąca prawidłowemu funkcjonowaniu urzędu, tylko pieniędzy następnym razem należy użyć innych.

Agro haute couture

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi poszło inną drogą. Nie zapłaciło za imprezę – to inni zapłacili ministerstwu.

We wrześniu monumentalny gmach resortu przy ul. Wspólnej w Warszawie został wykorzystany jako sceneria pokazu najnowszej kolekcji duetu Paprocki & Brzozowski. W przestrzeni, w której obywatel spodziewałby się raczej urzędników dyskutujących o cenach zbóż, wspólnej polityce rolnej albo eksporcie żywności, pojawili się modelki, projektanci, przedstawiciele show-biznesu i mediów. Była między innymi Monika Olejnik, były TVP, Plejada i Pudelek. Reporterzy Republiki informowali natomiast, że ich na wydarzenie nie wpuszczono.

Pokaz rozpoczął się około godz. 20.00 i trwał do północy. Czyli przez cztery godziny ministerialna przestrzeń funkcjonowała jako wybieg. Umowę na jej udostępnienie podpisano trzy dni przed pokazem. W sobotę!

Gdy fotografie i filmy trafiły do internetu, zaczęto pytać, dlaczego właściwie państwowy gmach jest scenerią komercyjnego wydarzenia modowego oraz jak podczas zamkniętej imprezy zabezpieczono części budynku zawierające urzędowe dokumenty. Ministerstwo odpowiedziało za to na zarzut najprostszy. Nie organizowało pokazu i nie finansowało go. A sugestie, jakoby resort był organizatorem, współorganizatorem albo finansował zabawę w swoim gmachu, są niezgodne z prawdą. Minister Stefan Krajewski nie brał udziału w wydarzeniu, a według resortu w jego przygotowanie nie byli zaangażowani merytoryczni pracownicy ministerstwa. Nie wydano na nie pieniędzy z budżetu państwa ani funduszy promocji. Resort określił komercyjne udostępnianie takich przestrzeni jako „powszechną i w pełni przejrzystą praktykę racjonalnego zarządzania mieniem państwowym". Padła też kwota, którą państwo w ten sposób przytuliło – 5 tys. zł netto.

Jeżeli przyjąć cztery godziny od 20.00 do północy, wyjdzie 1250 zł netto za godzinę. Oczywiście jest to jedynie arytmetyczne przeliczenie, bo umowa obejmowała również inne zobowiązania organizatora. Ministerstwo zaznaczyło, że 5 tys. zł to nie wszystko. Organizator miał pokryć wszystkie koszty techniczne, media, ochronę oraz sprzątanie. Został również zobowiązany do sfinansowania strefy prezentacji i degustacji polskich produktów rolno-spożywczych. Pojawiły się więc jabłka, sery i miody. Rzeczniczka resortu oceniła wartość tych świadczeń oraz działań promocyjnych na „kolejne kilkadziesiąt tysięcy złotych". Dzięki temu – według ministerialnej argumentacji – skarb państwa dostał nie tylko 5 tys. zł, ale również bezkosztową dla podatnika promocję rodzimej żywności.

Powstała więc konstrukcja godna osobnego departamentu – modelka idzie po wybiegu, obok leży jabłko, a państwo promuje rolnictwo. Z perspektywy resortu nie należało zatem widzieć wyłącznie kreacji Paprockiego i Brzozowskiego. Trzeba było dostrzec również strategiczną obecność sera.

Pozostaje jednak pewien drobiazg – w budynku ministerstwa nie przechowuje się wyłącznie jabłek i materiałów promocyjnych. To czynny urząd administracji centralnej. Kto pilnował, aby uczestnicy imprezy nie dostali się do pomieszczeń, w których znajdują się państwowe dokumenty? Czy tylko prywatna ochrona, której obecność widać było na rozpowszechnianych w sieci nagraniach? W odpowiedziach na te pytania resort zaplątał się tak, że nic nie wiadomo, ale teoretycznie zarzucić nikomu nic nie można.

I właśnie tu widać największy talent aktualnej władzy. Nie w tym, żeby nigdy nie zrobić czegoś, co wygląda nader osobliwie, tylko żeby później znaleźć dla tego uzasadnienie. Wystarczająco poważne, acz nic nieznaczące.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Prezydent Karol Nawrocki zrobił sobie konia z drabiny, mopa i czterech krzeseł. Na tę konstrukcję założył siodło, zaciągnął popręg i dosiadł tego cudacznego rumaka.

Cudaczny rumak zarżał.

– No i z czego rżysz, baranie?! – zawołał poirytowany prezydent.

– Z tego, głąbie, że podpisałeś, chociaż wcześniej nie podpisałeś, a później twoi ludzie zapowiedzieli, że nie podpiszesz – odpowiedział koń.

Nawrocki zrobił się na twarzy prawie tak czerwony jak poseł Michał Wójcik.

– Podpisałem, ale skierowałem do Trybunału Konstytucyjnego w trybie następczym – warknął.

– W trrrybie, w trrrybie, ihaha – szydził wierzchowiec, machając sznurkami od mopa. – Mówiłeś, dzbanie, że ustawa jest niekonstytucyjna, ale ją podpisałeś.

– Premier mnie zaszantażował.

– Prrremierrr, prrremierrr, ihaha.

– Kierowców wziął na zakładników.

– Kierrrowców, kierrrowców, ihaha. Dałeś się, tępaku, ograć jak trampkarz na zwichniętych nogach.

– Dałem się ograć, tak? – Prezydencka twarz zmieniła kolor na siny. – No to teraz uważaj, ośle, jak cię biorę do galopu!

Nawrocki ścisnął konia kolanami i zdzielił go szpicrutą po drewnianym zadzie.

Drabina się złożyła, mop się wywrócił, krzesła połamały się jak zapałki, a prezydent upadł z jękiem na tylną część bryczesów – i tyle było rumakowania.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl d670026849

Zorganizowana paranoja

Nawrocki wygłasza orędzie w oparach absurdu

W minionym tygodniu naród został wezwany przed telewizory z powodów początkowo tajemniczych. Wiadomo było tylko, że prezydent Nawrocki ma nam wszystkim coś do powiedzenia. A kiedy prezydent ma coś do powiedzenia, człowiek się zastanawia, czy przypadkiem nie wybuchła wojna, nie upadł rząd, nie zawaliła się konstytucja albo przynajmniej nie pojawił się kolejny wirus, przez którego trzeba będzie siedzieć w domu i dezynfekować klamki.

Tym razem jednak ceremonialna machina orędzia głowy państwa została uruchomiona po to, żeby naród usłyszał mniej więcej: płacicie za dużo za benzynę, ale spokojnie, wkroczyłem do akcji. Podpisałem ustawę. Co prawda taką, do której sam mam konstytucyjne wątpliwości, ale podpisałem, więc ogłaszam zwycięstwo nad dystrybutorem.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Zatem otworzyła się nowa epoka polskiej państwowości. Skoro cena paliwa zasługuje na prezydenckie orędzie, to może być też „Orędzie maślane", gdy kostka przekroczy 12 zł. Potem „Orędzie ziemniaczane", gdy młode dobiją do 8 zł za kilogram. W razie kolejnej podwyżki cen energii prezydent wygłosi „Orędzie energetyczne" i poinformuje obywateli, że rachunek za prąd należy jednak zapłacić. Można też wyobrazić sobie orędzie jajeczne, cukrowe, cebulowe i schabowe. A jeśli podrożeje piwo, wtedy państwo stanie już naprawdę na krawędzi.

Pytanie o to, dlaczego Nawrocki gardłuje o cenach paliwa, skoro sam tankuje wyłącznie za pieniądze tych, których pociesza, jest pytaniem o samą istotę współczesnego onanizmu politycznego. Jego spin doktorzy o mentalności handlarzy używanymi autami wywęszyli jednak, że przy dystrybutorach narasta wkurwienie o skali biblijnej. Uznali więc, że prezydent powinien wychłostać pylon, udając, że czuje ten sam ból co właściciel pełnoletniego Volkswagena w dieslu. To czysta kalkulacja: zamienić resztki powagi urzędu na trzy punkty procentowe w sondażu.

Pochylmy się teraz nad tą ekonomiczną aberracją zwaną „podatkiem od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych", który ma nas rzekomo uratować przed drożyzną. To konstrukcja równie fascynująca co próba gaszenia pożaru benzyną w nadziei, że ogień się zdziwi i zgaśnie. Nie spotkałem podatku, który by cokolwiek potaniił. Obiecywanie, że nowa danina obniży ceny, to jak zapowiadanie, że podniesiemy temperaturę w pokoju, żeby poczuć przyjemny chłód.

Słuchając Nawrockiego, można było odnieść wrażenie, że za mordercze ceny wachy odpowiadają jakieś mityczne, złowrogie byty. Rekiny, spekulanci, tajemnicze koncerny czające się w mroku. Może winne są stacje benzynowe? No nie bardzo. Marża stacji to nędzne dwa, trzy procent. Prawdziwe kokosy stacja zbija nie na ropie, a na hot dogach, kawie i batonikach sprzedawanych w cenie kolacji. Skoro więc nie stacja, to kto nas tak bezlitośnie strzyże? Sprawca pręży pierś na każdym rogu ulicy.

Ten mityczny rekin, przed którym prezydent obiecuje nas bronić, to w rzeczywistości jego własny, państwowy orzeł z czerwonym upierzeniem. W Polsce nie ma dziś dużego niezależnego od Orlenu producenta benzyn. Główne krajowe moce rafineryjne są skupione w Grupie Orlen albo w spółkach, nad którymi Orlen ma kontrolę lub dominujący wpływ: Płock, Rafineria Gdańska (dawny Lotos), Orlen Południe z rafineriami w Jedliczu i Trzebini. Orlen kontroluje lwią część polskiego rynku paliwowego i w praktyce wyznacza punkt odniesienia dla cen oraz marż pozostałych nielicznych i małych graczy, którzy importują gotowe diesle i bezołowiowe.

Zatem państwowy prezydent z namaszczeniem godnym papieża nakłada podatek na państwowy koncern, który trzyma za gardło cały rynek, a którym zarządza państwowy prezes mianowany przez państwowego ministra na polecenie państwowego premiera.

Państwo bohatersko wymierza policzek samemu sobie, krzycząc przy tym wniebogłosy, że broni ludu przed własną chciwością.

To tak jakby człowiek postanowił ukraść sobie portfel z lewej kieszeni, przełożyć go do prawej, a potem ogłosić w telewizji, że właśnie schwytał groźnego złodzieja i odzyskał mienie.

To już nie jest zwykły cyrk, to jest menażeria osobliwości, w której treserzy udają przed publicznością, że boją się własnych zwierząt. Zastanawia mnie ta zbiorowa ślepota: czy naprawdę w całym tym gmachu przy Wiejskiej, w tych wszystkich ministerstwach i kancelariach pachnących drogą wodą po goleniu, nikt nie ma mapy własnościowej kraju? Czy posłowie z namaszczeniem głosujący za podatkiem od nadzwyczajnych zysków doznali nagłego ataku amnezji i zapomnieli, że Orlen to nie jest obca flota piracka, tylko ich własny, państwowy okręt flagowy?

To jest ekonomiczna schizofrenia w stadium terminalnym. Zamiast produkować kilometry ustaw i marnować papier na opodatkowanie pazerności sektora, który sami nadzorują, wystarczyłoby, żeby premier podniósł słuchawkę i kazał swojemu namiestnikowi w Orlenie przestać łupić naród. Ale nie, to byłoby zbyt proste, zbyt uczciwe, a przede wszystkim – pozbawione walorów widowiskowych. Władza potrzebuje przecież wroga, nawet jeśli musi go sobie uszyć z własnych sztandarów.

Cynizm, obłuda i polityczne zakłamanie osiągnęły w Polsce stopień krystalizacji tak wysoki, że absurd przestał być uciążliwym błędem systemu, a stał się jego jedyną oficjalną technologią sprawowania władzy nad ogłupiałym inwentarzem. Jesteśmy państwem groteski, gdzie rządzenie polega na codziennym sprawdzaniu, jak wielkie głupstwo ludność jest w stanie przełknąć bez popijania.

ROBERT JARUGA

Bagna przeciwdronowe

Przyrodniczy komponent rządowego projektu



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przypomnijmy, że wiceministra klimatu i środowiska Urszula Zielińska zapowiedziała niedawno w RMF FM, że pół miliarda złotych z budżetu pójdzie na sztuczne odtworzenie bagien we wschodnim pasie przygranicznym, obejmującym aż 48 nadleśnictw.

Zielińska, która od początku sprawowanej przez siebie funkcji robi wrażenie osoby niezbyt przytomnej i mało kompetentnej, została po raz kolejny bezwiednie wsadzona na wizerunkową minę. Twierdzi bowiem uparcie, że te wywalone w błoto pieniądze zatrzymają, a przynajmniej spowolnią wraże czołgi Łukaszenki i Putina. Na co odezwali się masowo koneserzy sztuki wojennej, że to gówno prawda, bo teraz walczy się, co świetnie widać na Ukrainie, za pomocą bojowych dronów, a te, jak wiadomo, latają w powietrzu, a nie pełzną. I że tę ogromną kasę lepiej przeznaczyć na zakupy amunicji lub obronę przeciwlotniczą.

Tak na marginesie, to z zakupem takiej amunicji, np. do broni wartowniczej w pasie przygranicznym, to niekoniecznie racjonalny pomysł. Jak nam doniosły oburzone wiewiórki w resorcie, kulki do karabinków wartowników po roku podlegają wymianie na nowe. Stare jednak nie trafiają na poligon i strzelnice, lecz idą do utylizacji. Wojsko zatem nie oszczędza i w dupie ma pieniądze podatnika, bo kto mu zabroni.

Wracając do Zielińskiej, to w jej obronie stanęło oczywiście Ministerstwo Obrony Narodowej, bo to polewanie wodą ziemi za pięćset baniek to – jak to się ładnie pisze – „przyrodniczy komponent rządowego projektu Tarcza Wschód". A ten, jak wiadomo, nie podlega żadnej dyskusji, bo to byłby sabotaż. Wygląda więc na to, że powoli i systematycznie, choć jeszcze nie za bardzo widowiskowo, cała administracyjna infrastruktura państwowa w Polsce przechodzi na tryb wojenny.

W rodzinie generała Wiesława Kukuły zapanowała niedawno wielka radość. Ten szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego od trzech lat, za sprawą Władysława Kosiniaka-Kamysza i Karola Nawrockiego, dostał kolejną prolongatę na to stanowisko. To w zasadzie było oczywiste, bo

Kukuła ma mocny dupochron w osobie prezydenta RP, a minister obrony narodowej stara się za wszelką cenę nie popsuć Batyrowi humoru.

Dodatkowym czynnikiem sprzyjającym Kukule w utrzymaniu prestiżowej posady jest przychylność ambasady amerykańskiej. Chłop odbył bowiem kursy organizowane przez NATO, więc nikt mu nie podskoczy. A było przecież kilku innych kandydatów, w tym i faworyt premiera Donalda Tuska, generał broni Marek Sokołowski, dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych RP, opisywany kilkakrotnie na naszych łamach.

Poza plecami w postaci Nawrockiego, a z drugiej strony Tuska, między obu generałami jest różnica wiekowa, może nie tak duża, ale znacząca w innym wymiarze. Sokołowski to poza byciem komandosem jak Kukuła, jest nieodrodnym dzieckiem Wojskowej Służby Wewnętrznej PRL, której kadry weszły potem do zasobu Wojskowych Służb Informacyjnych. Młodszy zaś Kukuła to cudowne dziecko Antoniego Macierewicza, który za pomocą różnych Cenckiewiczów jako pisowski minister obrony rozgonił te służby na cztery wiatry. Z rąk Macierewicza obecny szef Sztabu Generalnego otrzymał też dowodzenie Wojskami Obrony Terytorialnej. A potem, już za rządów PiS i Andrzeja Dudy na stolcu prezydenta, poszło łatwo i przyjemnie. Do obecnej fuchy włącznie.

Dodajmy, że Sokołowski w młodości był, jak to się eufemistycznie teraz mówi, raczej trudnym młodzieńcem. Gdyby nie judo i życzliwi mu trenerzy oraz wojskowi, nie byłby pewnie tu, gdzie jest teraz. Dlatego tak jak nie przepadamy za tym całym trepowiskiem, to mając wybór między wychowankiem Macierewicza i USA a dzieckiem z awansu społecznego, wybralibyśmy Sokołowskiego. Jest bliżej ziemi. Tej ziemi.

JMP

Na froncie walki o prawo do strajku

Rewolta pracownicza

SŁOWO CZERWONE

Kościół, bram cztery ułomki i trzy Biedronki. Coraz trudniej zrobić zakupy w normalnym sklepie, bo wszędzie są sieciówki. W Biedronkach może dojść do strajku, bo brakuje ludzi. Kiedy któraś z kolei klientka prosi, żeby kogoś zawołać do kasy, ekspedientka odpowiada ze łzami w oczach, że nie ma nikogo. Pracują w trójkę w dużym sklepie i nie dają rady. Bo muszą obsłużyć kasę, przynajmniej jedną, reszta jest nieczynna, pomóc tym, którzy nie radzą sobie w samoobsługowych, i donosić towar przywożony wciąż na paletach ciężarówkami. I kto to wszystko robi?

Pójdźcie do Biedronki, to zobaczycie te niemłode panie, które godzą się na tę katorgę, żeby jakoś dociągnąć do emerytury. Bo jak je zwolnią, to w tym wieku nikt inny nie zatrudni. Dozór straszy, że jak się nie wyrobią, to im zabiorą etat. A wtedy i tak się sklep zawali. Młodzi uciekają na L4, na urlopy, byle dalej od tej katorgi. Ponieważ ludzi zatrudnia się za mało, to godziny pracy są wydłużane. Kiedy będąc wieczorem w Biedronce, zrobiłem uwagę, że zmęczona kasjerka wkrótce pójdzie do domu i odpocznie, to usłyszałem, że ona do rana zostanie rozkładać towar. Kwartalne rozliczanie czasu pracy umożliwia takie cuda. Tyle że nie wszyscy zdołają z tych zaoszczędzonych godzin skorzystać. Jedni, bo są zahukani, inni, bo są z Ukrainy i nie śmią się odezwać.

W Polsce są 3882 Biedronki. Ustawa o sporach zbiorowych nakazuje przeprowadzenie referendum wśród całej załogi, ale praktycznie jest to niemożliwe, bo poziom uzwiązkowienia jest słaby. Jeżeli strajk wybuchnie, to nie dlatego, że odbyło się ważne referendum, tylko dlatego, że w części sklepów ludzie nie dają już rady. Będzie to więc strajk nielegalny, jak te w latach 80. Kobieta w wieku przedemerytalnym, która mimo to zastrajkuje, ryzykuje, że jeśli nie ma wspierającej rodziny, to do emerytury będzie głodować.

Takich miejsc, gdzie oszczędza się na zatrudnieniu odpowiedniej liczby pracowników, chcąc wydusić jak największe zyski ze szczupłej załogi, jest masa. Dlatego postanowiliśmy zmienić prawo, które utrudnia strajki. Ruch Sprawiedliwości Społecznej i Ogólnopolski Związek Zawodowy „Inicjatywa Pracownicza" prowadzą kampanię na rzecz zniesienia restrykcyjnego zakazu strajków w Polsce. Działania te skupiają się wokół walki z archaiczną ustawą o rozwiązywaniu sporów zbiorowych, która zdaniem związkowców czyni konstytucyjne prawo do strajku fikcją. Chodzi nam o uproszczenie procedur sporów zbiorowych: domagamy się zniesienia skomplikowanych i długotrwałych formalności, które paraliżują legalne protesty.

Chodzi nam o likwidację progu frekwencyjnego. Obecne prawo wymaga, aby w referendum strajkowym wzięło udział co najmniej 50 proc. załogi. Jest to fizycznie niemożliwe do przeprowadzenia w wielkich, rozproszonych sieciach handlowych czy logistycznych (takich jak Amazon, Dino czy Kaufland). Dążymy do zaprzestania ścigania pracowników, którzy decydują się na natychmiastową odmowę pracy w odpowiedzi na rażące łamanie ich praw przez pracodawców.

Obawiam się, że bez tych zmian prawnych piekło pracowników Biedronki i innych sieci będzie trwać. Bo to niesamowite zmęczenie i wyzysk dają sieciom konkretne pieniądze.

Na razie jesteśmy na etapie grożenia zmniejszeniem załogi tam, gdzie ona już nie daje rady z ogarnięciem nadmiernych obowiązków.

Podobno Polska jest dziś bardzo bogata. To dlaczego można zmuszać te załogi, głównie złożone z kobiet po pięćdziesiątce, do nadludzkiego wysiłku pod groźbą zwolnienia z pracy?

Bo starzy i bezrobotni nie wyżyją z zasiłków. Bo zasiłek należy się, gdy masz dochód mniejszy niż 823 zł. Bo ktoś, kto wylatuje z roboty, może bardzo szybko wylecieć z mieszkania.

Bo na wyrok sądu pracy trzeba czekać latami. A w sądzie i urzędzie biedni nigdy nie mają racji.

Oczywiście zdarzają się cuda. Wywołuje je Grzegorz Ilnicki, prawnik, obrońca uciśnionych. Z dużą radością czytam o jego kolejnych sukcesach: Sąd Okręgowy w Katowicach wydał kolejny prawomocny wyrok w sprawie o nadgodziny w zadaniowym czasie pracy. I wynik jest taki sam – przegrany pracodawca może już przystępować do przygotowania przelewu dla pracowników, to ponad 350 tys. zł dla czterech osób.

Tym razem pracodawca zaprezentował nowy zestaw argumentów w apelacji, ale sąd w półgodzinnym wystąpieniu rozprawił się negatywnie ze wszystkimi, a dla przykładu (kompletna lista byłaby bardzo długa):

– nie da się oczekiwać oddalenia pozwu tylko dlatego, że pracownik nie informował o nadgodzinach; jeżeli wymiar zadań nie jest możliwy do wykonania w ciągu ośmiu godzin, obciąża to pracodawcę bez względu na brak zgłoszenia, pracownik nie musi informować o nadgodzinach osobiście, bo jeżeli robi to w jego imieniu związek zawodowy, to pracodawca nie może twierdzić, że nic o tym nie wie,

– spadająca liczba klientów nie jest argumentem na rzecz tego, że pracy było mniej, jeśli jednocześnie cele biznesowe nie były obniżane i oczekiwano takich samych efektów pracy,

– nazwanie jakiegoś stanowiska „kierownikiem" nie oznacza, że ktoś jest menedżerem, jeżeli jest to najniższe stanowisko w strukturze firmy; etykiety w nazwach stanowisk nie mają znaczenia,

– nie można atakować wiarygodności świadków tylko dlatego, że ich zeznania nie są korzystne dla pracodawcy...

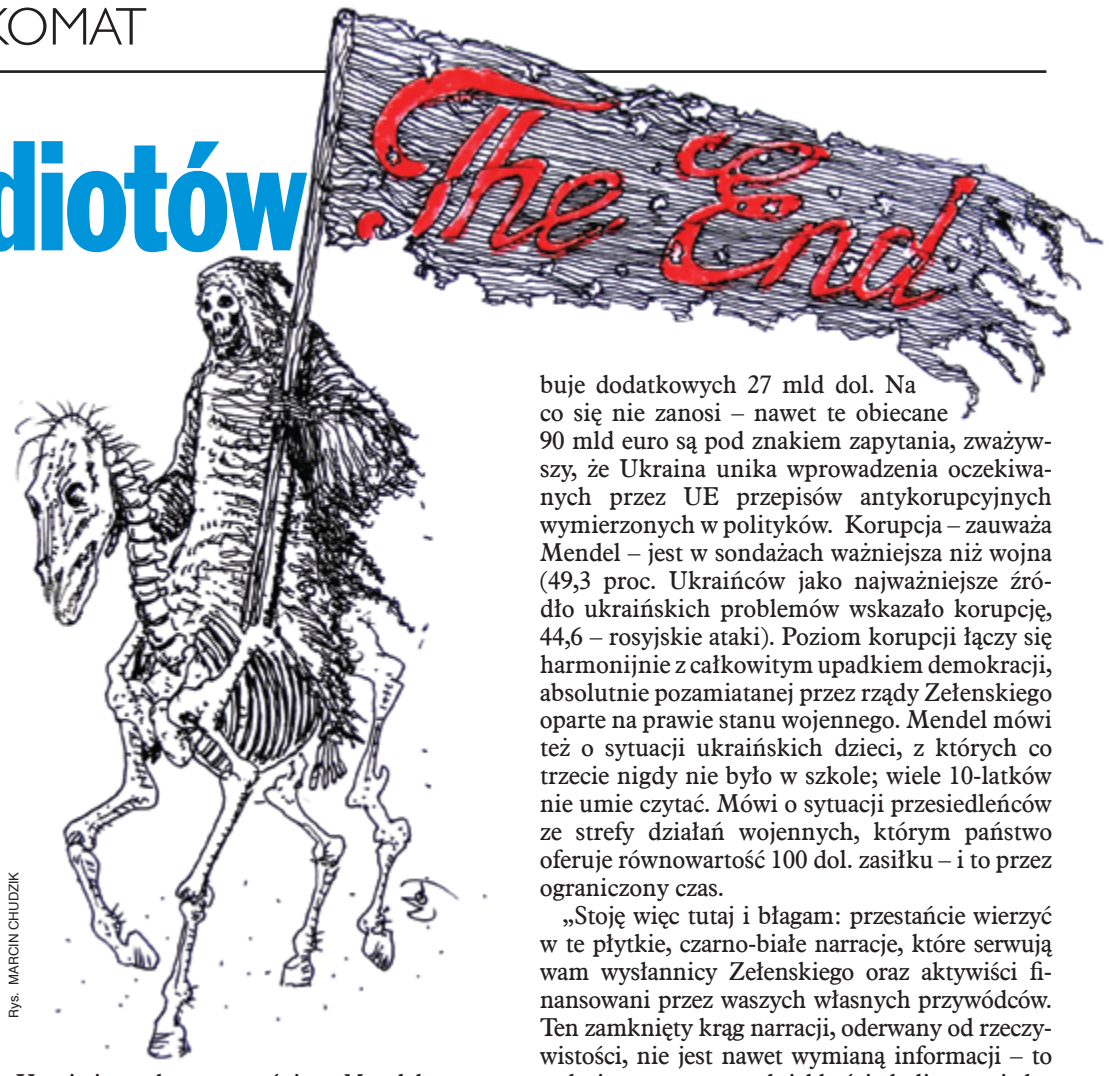
Niestety, takich jak Grzesiek nie ma zbyt wielu, a pokrzywdzonych – owszem. Pozdrawiam cię, Grześku.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl d670026849

Europa pożytecznych idiotów

Zauważyliście, że krajowy mainstream już naprawdę nie wie, co zrobić z Ukrainą?



Rys. MARCIN CHUDZIK

Najlepiej obrazuje to dziwaczna ekwilibrystyka, w którą wdał się najszacowniejszy dziennik w Polsce, „Rzeczpospolita”, dodatkowo tłumacząc się Czytelnikom ze swoich wyborów.

Michał Płociński, szef działu opinii, zaczął od wyjaśnienia prenumeratorom (do których się zaliczam), iż „Rz” otrzymała „kilka dziwnie zbieżnych w czasie propozycji od ukraińskich historyków, którzy nagle zechcieli przedstawiać na łamach »Rzeczpospolitej« ukraińską perspektywę historyczną”.

Publikować czy nie

Red. Płociński poinformował mnie następnie o swoich rozterkach – „publikować czy nie” (nie żeby takie pytania były mi obce) oraz o salomonowym wyjściu, jakie wymyślił: „ma to sens tylko wtedy, gdy taka opinia od razu zestawiona zostanie z odpowiedzią – i to państwowej instytucji – prezentującą polską perspektywę i przede wszystkim fakty”. Uczciwie powiedziawszy, mam niejaki problem z sensem publikowania tekstu, w którym nieprawdziwie przedstawione są fakty – o ile wolność opinii stanowi istotę demokratycznej debaty, o tyle wolność w sferze „faktów” nieco podważa koncept faktu jako takiego. Ale mniejsza.

„Rzeczpospolita” opublikowała zatem tekst ukraińskiego politologa prof. Tarasa Kuzio zatytułowany „Ukraina, walcząca o przetrwanie, nie zamierza dłużej się zgadzać na polski szantaż” – a zaraz obok odpowiedź szefa Ośrodka Studiów Wschodnich Wojciecha Konończuka: „Na Wołyniu nie ma symetrii win. Ukraina próbuje przekonać świat do zafałszowanej historii”. Precyzyjne omawianie zawartości obu tekstów nie ma sensu – można ją wywnioskować z tytułów. Prof. Kuzio twierdzi, że rzeź wołyńska była elementem symetrycznego konfliktu, u którego podstaw legło podłe traktowanie Ukraińców w II RP, a także przez rozmaite polskie siły zbrojne w czasie II wojny światowej, i że polska narracja jest w tej sprawie jednostronna. Dyr. Konończuk ripostuje, że zakłucie widłami 80–100 tys. – a nie, jak pisze Kuzio, 50–70 tys. Polaków – to jednak planowa akcja UPA, a nie kłótnie między sąsiadami, które wymknęły się spod kontroli. Generalnie autorzy spierają się o to, kto komu więcej ludzi zamordował i kto był gorszą hitlerowską kurwą.

Myślę sobie, że koledzy z „Rz” są bardzo zadowoleni ze swojej odwagi: że oto przedstawili dwa punkty widzenia, umożliwili otwartą i szczerą debatę, są uosobieniem medialnego pluralizmu. Kłopot z pluralizmem polega na tym, że miewa więcej niż dwie strony.

Mam takie wredne podejrzenie, że dla bardzo wielu Polaków dyskusja tak naprawdę nie dotyczy tego, kto kogo bardziej rezał ponad 80 lat temu, tylko tego, co Ukraina jest winna Polsce w zamian za wsparcie z ostatnich pięciu lat. Być może nie ujmują tego – nawet na własne potrzeby – tak brutalnie, ale taka jest istota emocji: myśmy was nakarmili i napoili, dali dach nad głową i Patrioty, a wy do nas z Banderą w panteonie narodowym?! To nie jest spór o historię, to jest spór o wdzięczność – oraz niewdzięczność.

Niewierna Julija

Gdybyśmy sobie jednak pozwolili na jego sformułowanie w taki sposób – to w cieniu czają się inne, trudniejsze dyskusje.

Po pierwsze – owo upiorne, powtarzane do wyrzygu przez mainstream hasło, że „Ukraina walczy za nas”. Pisałam o tym wiele razy: Ukraina walczy za siebie, Rosja nie ma ani potencjału militarnego, ani ambicji, ani interesu, żeby napadać jakikolwiek kraj NATO. Pomagamy Ukrainie, bo przyzwoitość wymaga pomagać słabszemu, jak bije go silniejszy – ale to tyle.

Ale za tą frazą – że „Ukraina walczy za nas” – kryje się inny dyskurs, znacznie poważniejszy. I jestem jakoś dziwnie pewna, że o nim nie przeczytamy na łamach pluralistycznej „Rzeczpospolitej”.

Najlepiej ujęła to była rzeczniczka prezydenta Zełenskiego Julija Mendel, 16 września przemawiając do członków Parlamentu Europejskiego (choć nie w jego gmachu, o czym za chwilę):

„Jak dwadzieścia pięć milionów Ukraińców, z których połowa to emeryci, ma obronić pięćset milionów Europejczyków przed stu czterdziestoma milionami Rosjan? Nie wstyd wam?”...

Na początku prezydentury Julija należała do wewnętrznego kręgu Zełenskiego, a przez wiele następnych lat była jego żarliwą zwolenniczką i entuzjastką wysiłku zbrojnego Ukrainy. Atoli w zeszłym roku Mendel zaczęła krytykować politykę prezydenta i jego podejście do wojny, co umieściło ją w gronie wrogów narodu ukraińskiego. 13 września Zełenski wpisał ją na listę sankcyjną, co oznacza m.in. pozbawienie odznaczeń państwowych oraz zamrożenie środków w ukraińskich bankach. Trzy dni później Parlament Europejski zabronił jej wstępu, mimo iż była gościem oficjalnie zaproszonym przez grupę posłów PE.

Uczciwie trzeba przyznać, że p. Mendel w ostatnim czasie utrzymuje kontakty z dość szemranymi środowiskami: do PE zaprosiła ją AfD, a cały skandal, którego zwieńczeniem były sankcje, wynikł z wywiadu, jakiego udzieliła Tuckerowi Carlsonowi. To były gwiazdor Fox News – kiedyś apologeta Trumpa, a dziś jeden z jego najostrzejszych krytyków, a także entuzjasta Władimira Putina, u którego ceni głównie tradycyjne wartości i walkę z propagandą homoseksualną. Z drugiej strony – nikt inny nie chce słuchać Juliji Medel, a kobita naprawdę ma coś do powiedzenia.

Narodowe samobójstwo

Ostatnio w poważnym brytyjskim konserwatywnym magazynie „The Spectator” opublikowała tekst, stanowiący streszczenie jej zdalnego wystąpienia na konferencji AfD z połowy września. Tytuł brzmi: „Strategia Zełenskiego to narodowe samobójstwo”.

Ukraina – twierdzi Mendel – straciła ponad połowę ludności: w momencie odzyskania niepodległości Ukraińców były 52 mln, dziś szacunki mówią o 20–25 mln. Na to składają się straty wojenne, emigracja, utrata 20 proc. terytoriów – a więc i obywateli – na rzecz Rosji i generalny dramat demograficzny: w 2026 r. na jedno urodzenie żywe przypadają na Ukrainie cztery zgony. Kraj mierzy się też z katastrofą ekonomiczną – dług publiczny osiągnął 110 proc. PKB, Ukraina może funkcjonować tylko dzięki pomocy z Zachodu, a ostatnio okazało się, że 90 mld euro wsparcia z UE nie wystarczy, sama armia potrzebuje dodatkowych 27 mld dol. Na co się nie zanosi – nawet te obiecane 90 mld euro są pod znakiem zapytania, zważywszy, że Ukraina unika wprowadzenia oczekiwanych przez UE przepisów antykorupcyjnych wymierzonych w polityków. Korupcja – zauważa Mendel – jest w sondażach ważniejsza niż wojna (49,3 proc. Ukraińców jako najważniejsze źródło ukraińskich problemów wskazało korupcję, 44,6 – rosyjskie ataki). Poziom korupcji łączy się harmonijnie z całkowitym upadkiem demokracji, absolutnie pozamiatanej przez rządy Zełenskiego oparte na prawie stanu wojennego. Mendel mówi też o sytuacji ukraińskich dzieci, z których co trzecie nigdy nie było w szkole; wiele 10-latków nie umie czytać. Mówi o sytuacji przesiedleńców ze strefy działań wojennych, którym państwo oferuje równowartość 100 dol. zasiłku – i to przez ograniczony czas.

„Stoję więc tutaj i błagam: przestańcie wierzyć w te płytkie, czarno-białe narracje, które serwują wam wysłannicy Zełenskiego oraz aktywiści finansowani przez waszych własnych przywódców. Ten zamknięty krąg narracji, oderwany od rzeczywistości, nie jest nawet wymianą informacji – to rodzaj autocenzury, tak jakbyście byli gotowi słyszeć tylko to, co chcecie usłyszeć” – mówiła Mendel do europosłów. A do „Spectatora” napisała, iż wśród Ukraińców „istnieje poczucie, że zachodnia elita polityczna woli, by Rosja spłonęła, niż by Ukraina została ocalona. Nasze codzienne straty traktuje się jako akceptowalną cenę”.

Mearsheimer u Ławrowa

Znienawidzony przez apologetów Zełenskiego (w tym Radka Sikorskiego) amerykański politolog prof. John Mearsheimer niedawno był Rosji, gdzie miał okazję rozmawiać i ze zwykłymi obywatelami, i z przedstawicielami elit, z Siergiejem Ławrowem włącznie. Mearsheimer podkreśla, że widział zero chęci zawładnięcia całą Ukrainą, nie wspominając już o Europie Wschodniej. Rosjanie – twierdzi Mearsheimer i ja mu wierzę – doskonale rozumieją, że byłoby to niewykonalne militarnie i politycznie. Z drugiej strony – pamiętają, że po zakończeniu wojny nadal będą sąsiadować z Ukrainą: gniewną, wrogą i bez wątpienia niezadowoloną z granic, które po tej wojnie zostaną. Dlatego – dodaje politolog – celem Rosji jest zapewnienie, że okrojone państwo ukraińskie będzie tak dysfunkcjonalne i słabe, jak to tylko możliwe.

I tak to wszyscy, zagrzewając Ukraińców do walki z ciepłego komfortu naszych nienarażonych na drony domów, przyczyniamy się do spełnienia życzenia Władimira Władimirowicza.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Granice neutralności

Szwajcaria dołącza do militarnego amoku

Szwajcaria nie zamierza – tak jak Szwecja – zrezygnować z tradycyjnej neutralności i wstąpić do NATO. Jednak, jak wykazało ostatnie referendum konstytucyjne, na umacnianie zasady neutralności Szwajcarzy także nie mają apetytu.

Neutralność ma tam wieloletnie tradycje. Szwajcaria ogłosiła ją w 1815 r. po zakończeniu wojen napoleońskich, a w roku 1848 zapisano ją w konstytucji. Jednak zapisy konstytucyjne są bardzo ogólnikowe i stąd pojawił się pomysł ich doprecyzowania.

Przegrane referendum

Pod koniec września odbyło się referendum, którego inicjatorem było stowarzyszenie Dla Szwajcarii, ściśle powiązane ze Szwajcarską Partią Ludową (SVP).

SVP to formacja modnej ostatnio w Europie populistycznej prawicy: eurosceptyczna, antyimigrancka, islamofobiczna, a jednocześnie neoliberalna. To też dziś największa partia w szwajcarskim parlamencie, posiadająca 62 z 200 mandatów.

Poprawki konstytucyjne miały umacniać zasadę szwajcarskiej neutralności, definiując ją jako obowiązującą „permanentnie i bez wyjątków”. Proponowane zapisy stwierdzały też, że Szwajcaria nie przystąpi do sojuszu obronnego, chyba że zostanie zaatakowana; nie będzie angażować się w konflikty między stronami trzecimi; jej siły zbrojne będą miały charakter stricte obronny oraz – to szczególnie istotna zmiana – że Szwajcaria nie przyłączy się do żadnych sankcji, które nie zostały zatwierdzone przez Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Ten ostatni punkt powoduje, że zdaniem przeciwników SVP referendum miało charakter prorosyjski. Do pewnego stopnia może i tak – zważywszy, że SVP krytykuje rząd za przyłączenie się do sankcji UE wobec Rosji. Niuchacze widzący wszędzie rękę Kremla – tym razem francuski „Le Monde” – mówili o rosyjskiej interwencji w szwajcarskim głosowaniu. Tymczasem 70,15 proc. głosujących opowiedziało się przeciwko proponowanym zmianom; tylko 29,85 proc. było za. Interwencja – gdyby miała miejsce – okazała się zatem kompletnie nieskuteczna. A może poważny skądinąd dziennik bezsensownie wpisał się w antyrosyjską histerię?

Faktem jest, że Rosji zależałoby na uwolnieniu zamrożonych w Szwajcarii aktywów ocenianych na 7,4 mld franków. Jednak szwajcarska sankcyjna solidarność jeszcze nie oznacza odwrócenia się – wzorem niektórych europejskich państw – tyłem do Moskwy. Szwajcaria nie jest członkiem UE, ale partycypuje w unijnych dopłatach dla nowo przyjętych krajów członkowskich. Ponadto umożliwiła, aby 1,5 mln obywateli UE mogło mieszkać i pracować w Szwajcarii.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Neutralność tak, ale elastyczna

SVP jest jedyną partią pragnącą zmian w konstytucji. Jak podczas telewizyjnej debaty mówiła wiceprzewodnicząca partii Céline Amaudruz,

celem SVP jest pielęgnowanie pokoju, dyplomacji i dialogu – i aby to osiągnąć, Szwajcaria musi utrzymać swoją wiarygodność poprzez niezmienną neutralność militarną. Innego zdania jest rząd.

Minister spraw zagranicznych Ignazio Cassis uważa, że w dzisiejszym świecie państwo nie może „ukrywać się za neutralnością” i „na równi traktować przestępców i ofiary”, albowiem neutralność zawsze powinna odznaczać się pewną dozą elastyczności. Ponadto, jego zdaniem, przyjęcie zmian w konstytucji zaszkodziłoby bezpieczeństwu narodowemu i uniemożliwiło prowadzenie wspólnych szkoleń z NATO.

Stanowisko rządu znalazło swoje praktyczne zastosowanie. Rząd podał pod debatę parlamentarną projekt zwiększenia o 970 mln franków wydatków na cele militarne – głównie na zakup środków obrony przeciwrakietowej i systemu przeciwdziałania dronom – argumentując, że w obecnej sytuacji międzynarodowej nie można polegać jedynie na prawnych gwarancjach bezpieczeństwa. W tym celu proponuje podwyżkę stawki VAT na 12 lat o pół punktu procentowego – do 8,6 proc.

Pomysł podniesienia podatków nie wszystkim się podoba. Liberalna centroprawicowa Partia Wolnych Demokratów FDP głosi, że dodatkowe środki na uzbrojenie powinny pochodzić ze sprzedaży części akcji szwajcarskiej telekompanii Swisscom i części zysków Banku Narodowego. Nikt jednak nie neguje samej celowości zwiększenia nakładów na zbrojenia – sceptycyzm odnosi się jedynie do ewentualnych skutków i niektórych detali.

Partia SVP, będąca pomysłodawcą referendum, nagle przypomniała sobie o uchodźcach, którzy teraz mieliby otrzymać mniej pieniędzy, natomiast socjaldemokraci obawiają się, że w wyniku zakupu myśliwców F-35 Szwajcaria stanie się uzależniona od USA w zakresie ich eksploatacji, zabezpieczenia programowego i możliwości operacyjnych.

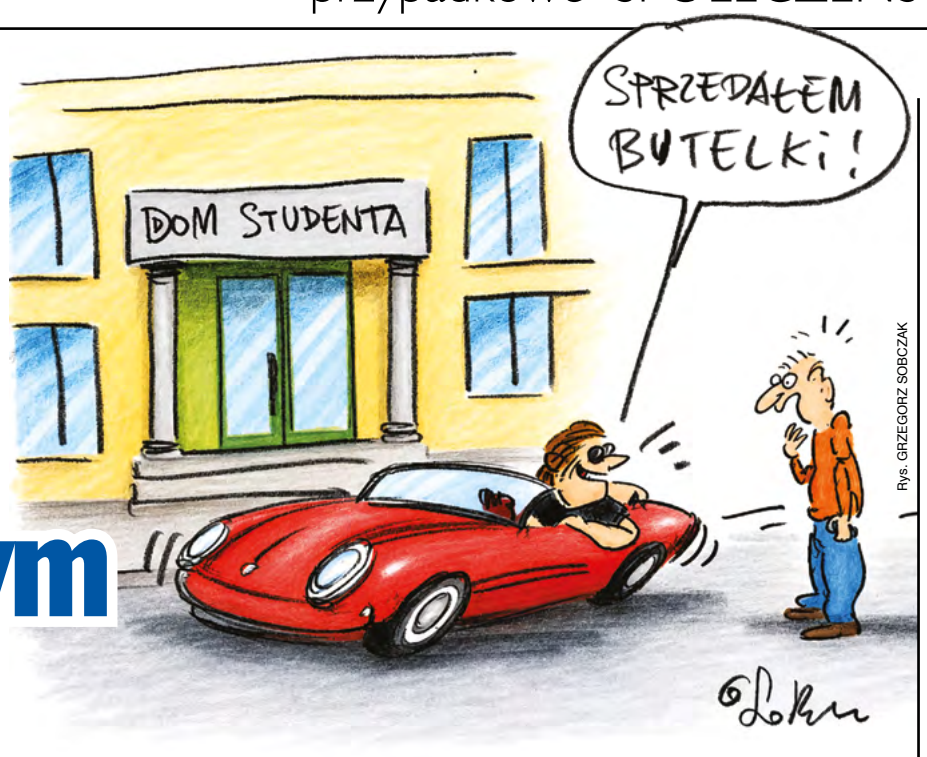
Biorąc po uwagę podejście różnych partii do referendum, można zauważyć, że i w Szwajcarii jak w całej Europie wytworzyła się dość paradoksalna sytuacja. Otóż wbrew dotychczasowym doświadczeniom bardziej pokojowo nastawiona od lewicy jest prawica. Polska nie jest tu wyjątkiem.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl d670026849

Studia fikcyjnie bezpłatne

Bajka o równym starcie



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Kelnerka wracająca o północy z pracy przed egzaminem nie jest biedna – ona „buduje kompetencje”. Student siedzący na kasie zamiast w bibliotece nie musi zarabiać na czynsz – on „wchodzi na rynek pracy”. Można wszystko nazwać sukcesem, jeśli ma się dobrego specjalistę od public relations.

W Polsce studia są bezpłatne. Podobno. To znaczy: państwo nie każe studentowi studiów stacjonarnych na publicznej uczelni płacić za wykład, egzamin i indeks. A skoro nie pobiera pieniędzy przy wejściu do sali, uznaje, że sprawę załatwiło. Student może studiować. Niech się cieszy. Tylko najpierw musi kupić sobie możliwość korzystania z tej bezpłatności.

GUS wyliczył, że w 2024 r. przeciętny koszt kształcenia jednego studenta wynosił 34,6 tys. zł rocznie. To koszt działania całego systemu: wykładowców, sal, laboratoriów, bibliotek, administracji. W uczelniach publicznych zdecydowaną większość podstawowej działalności finansuje państwo. I bardzo dobrze. Wykształcony lekarz, inżynierka, nauczyciel czy biolog nie są prywatną fanaberią swoich rodziców. Ich wykształcenie jest przecież zasobem społeczeństwa.

Bezpłatność za 42 tys. zł

A przecież jest tak: państwo finansuje uczelnię, lecz nie finansuje studentowi możliwości korzystania z tej uczelni. Według „Portfela Studenta 2026” osoba studiująca bez czesnego wydaje przeciętnie około 3546 zł miesięcznie na mieszkanie, jedzenie, transport i codzienne życie. To ponad 42,5 tys. zł rocznie.

Czyli samo kształcenie jednego studenta kosztuje przeciętnie 34,6 tys. zł rocznie, ale żeby student mógł z tego kształcenia rzeczywiście korzystać, on albo jego rodzina muszą znaleźć jeszcze ponad 42 tys. zł na jego utrzymanie. I to ma się nazywać bezpłatne? Bezpłatny jest wykład. Bezpłatny jest egzamin. Bezpłatne jest miejsce w sali. Ale możliwość mieszkania w mieście, w którym stoi ta sala, możliwość jedzenia przez pięć lat studiów i posiadania czasu na naukę bez pracy po nocach – bezpłatne już nie są.

Oczywiście syn dobrze sytuowanych Warszawiaków problem może znać głównie z mediów. Ma swój pokój, lodówkę rodziców, internet rodziców, pralkę rodziców i tramwaj pod domem. Dziewczyna z Łomży, Hrubieszowa czy małej wsi, która dostała się na ten sam kierunek, zaczyna od wynajęcia sobie prawa do studiowania. Formalnie oboje mają identyczny dostęp do bezpłatnej edukacji – równe szanse. Tak samo jak ja i Kulczyk mieliśmy identyczne prawo kupić sobie pałac.

Kasę przeniesiono za bramę uczelni

Tu właśnie schowana jest klasowa sztuczka. Płaci się czesne, ale nie w uczelnianej kasie – ją bowiem sprywatyzowano: kasuje właściciel mieszkania, sklep, transport, producent laptopa. A jeśli rodzice nie mogą płacić – bierze je pracodawca. I nie zawsze w złotówkach. Czasem w godzinach życia.

W badaniu „Portfel Studenta 2026” tylko 37 proc. studentów deklarowało, że nie pracuje. A zatem prawie dwie trzecie łączy studia z jakąś formą zatrudnienia. Można oczywiście opowiedzieć o przedsiębiorczej młodzieży, która wcześnie zdobywa doświadczenie zawodowe. Kapitalizm uwielbia takie bajki.

Pomoc państwa tej fikcji specjalnie nie psuje. W roku akademickim 2024/2025 było w Polsce około 1,28 mln studentów. Stypendium socjalne otrzymywało 52,8 tys., czyli z grubsza czterech na stu. Akademik? Publiczne akademiki dysponowały według danych resortowych około 100,6 tys. miejsc. Reszta studentów testuje działanie wolnego rynku mieszkaniowego.

Równość po studencku

Ja pamiętam, ale młodym trzeba przypomnieć PRL. To nie był raj. Pod koniec lat 80. kraj tonął w kryzysie, inflacji i niedoborach. Ale ówczesne państwo rozumiało rzecz, którą dzisiejsze państwo dziwnie zapomniało: student nie składa się wyłącznie z mózgu przynoszonego rano na wykład.

Rozporządzenie władz z 1988 r. przewidywało nie tylko stypendia, lecz także pomoc w kosztach domu studenckiego, wyżywienia w stołówce i zapomogi. Student spoza miejscowości akademickiej mógł otrzymać większe wsparcie. Czyli państwo realnego socjalizmu, które miało na karku parę kompromitacji, wiedziało, że dostęp do wyższego wykształcenia zaczyna się przed drzwiami uniwersytetu.

My osiągnęliśmy wyższy stopień rozwoju. 4 czerwca 1989 r. naród, sądząc, że wybiera dobrobyt i demokrację, wybrał kapitalizm – taki kapitalizm z Balcerowiczem i jego długim cieniem. Równość szans dla równiejszych. Państwo dziś finansuje profesora, laboratorium, bibliotekę i salę wykładową. Następnie oddaje rynkowi decyzję, kogo będzie stać, żeby do tej sali codziennie przychodzić.

Czesne ma się dobrze. Tyle że nie pobiera go uczelnia. Kasuje je właściciel mieszkania, supermarket i pracodawca. Ale to nie oni płacą główną część podatków. Degresywny system podatkowy powoduje, że płacą je przede wszystkim rodzice studenta. Dzięki temu studia mogą pozostać bezpłatne.

W Polsce każdy ma równe prawo do bezpłatnych studiów. Tyle że bogatsi mają jeszcze możliwość z tego prawa skorzystać.

ANNA GRODZKA

Czasoprzest

Zmiana czasu jest dla Brukseli bardziej letnia niż woda

Gdyby ktoś chciał znaleźć najlepszy przykład na to, że europejska biurokracja potrafi precyzyjnie uregulować rzeczy, bez których regulacji ludzkość jakoś przez tysiąclecia dawała sobie radę, ale dostaje zadyszki przy problemie sprowadzającym się do przesunięcia wskazówki zegara, powinien zainteresować się zmianą czasu. Sprawa jest bowiem rozwiązana niemal od dekady. Obywatele powiedzieli, czego chcą, a Komisja Europejska powiedziała, że ich posłucha. Parlament Europejski powiedział, że też. Komisarze ogłaszali sukces: powstał projekt dyrektywy, były konsultacje, raporty, debaty, prezydencje, stanowiska, analizy, kolejne analizy i zapowiedzi analiz nowych. I dlatego jesienią 2026 r. Europejczycy znowu przestawią zegarki. A żeby nikt nie żył złudzeniami, Komisja Europejska rozpisała już, kiedy będą je przestawiać aż do 2031 r.

Kwadratura czasu

To szczególnie piękne osiągnięcie organizacji, która w tym samym czasie dała sobie radę z zakrętkami od butelek. Dyrektywa 2019/904 mówi wszak jasno, że jednorazowe plastikowe pojemniki na napoje o pojemności do 3 litrów mogą być wprowadzane na rynek tylko wtedy, gdy plastikowe nakrętki i wieczka podczas używania pozostają przytwierdzone do opakowania. Przepis uchwalono, producenci przerobili linie produkcyjne, obywatele nauczyli się pić z butelki, kłując usta, podczas gdy przy policzku majta się im kawałek plastiku. Mało tego, od 2025 r. butelki PET mają zawierać średnio co najmniej 25 proc. tworzywa z recyklingu, a od 2030 r. wszystkie objęte regulacją butelki na napoje mają dojść do co najmniej 30 proc.

Unia potrafiła zatem ustalić, jaki procent starej butelki powinien znajdować się w nowej butelce. Nie potrafi zaś ustalić, czy za cztery lata o trzeciej będzie trzecia, czy druga.

Choć wszystko zaczęło wyglądać nader obiecująco w 2018 r. Latem Komisja Europejska przeprowadziła konsultacje dotyczące sezonowej zmiany czasu. I choć trwały krócej niż standardowe 12 tygodni, Europejczycy ruszyli do komputerów z zapałem. Nadeszło około 4,6 mln odpowiedzi. Ponad 99 proc. pochodziło od obywateli, a nie od firm, lobbystów czy organizacji. Aż 84 proc. respondentów chciało skończyć z przestawianiem zegarków. Zwolennicy jego likwidacji wskazywali przede wszystkim kwestie zdrowotne, a potem brak spodziewanych oszczędności energii. Jedynie w Grecji i na Cyprze niewielka większość uczestników badania była za utrzymaniem zmian, zaś na Malcie wynik wyszedł mniej więcej pół na pół.

4,6 mln odpowiedzi i wynik 84 do 16 wyglądały na tyle jednoznacznie, że ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker uznał, iż można przejść do nieprzestawiania czasomierzy. 12 września 2018 r. Komisja przedstawiła projekt dyrektywy mającej zakończyć sezonowe zmiany czasu w całej Unii. I początkowo Bruksela była tak pełna wiary we własną sprawność, że przewidywała ostatnie wspólne przejście na czas letni już 31 marca 2019 r., a każde państwo członkowskie miało zdecydować, przy którym czasie zostaje.

Parlament Europejski zdołał wprawdzie w marcu 2019 r. przyjąć swoje stanowisko, tyle że datę końca przestawiania przesunął na 2021 r. Problem polegał na tym, że do uchwalenia prawa potrzebna była jeszcze Rada Unii Europejskiej, czyli państwa członkowskie. Te zaś musiały się dogadać. A nie dogadały się do dziś. Oficjalna strona rady podaje w 2026 r., że „nie podjęto ostatecznej decyzji” i nie określono żadnego terminu, w którym miałaby ona zapaść.

Ładowarki do zakrętek

W tych samych latach Europa nie próżnowała jednak regulacyjnie, bo po zakrętkach Bruksela poradziła sobie także z ładowarkami. Od grudnia 2024 r. nowe telefony komórkowe, tablety, aparaty cyfrowe, słuchawki i inne ustrojstwa cyfrowe, mają korzystać ze wspólnego portu USB-C. Komisja wyliczała, że niepotrzebne i wyrzucane ładowarki odpowiadały za około 11 tys. ton elektroodpadów

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W Suwałkach mężczyzna włamał się do Audi, uszkodził szybę, drzwi i wyposażenie auta, po czym przykrył się znalezionym w środku kocem i zasnął. Właściciel oszacował straty na 17 tys. zł. Nie wiadomo, czy włamywacz chciał coś ukraść, ogrzać się, przespać, zdewastować samochód, czy też realizował wszystkie te cele po kolei. Policja uznała jednak, że sen był tylko finałem większego przedsięwzięcia, i postawiła mu zarzuty usiłowania kradzieży z włamaniem oraz uszkodzenia mienia.

▮ CBŚ zatrzymało dwóch Polaków, którzy ukradli w Niemczech bydło o wartości 300 tys. euro. Policja odzyskała 159 sztuk mięsnej arystokracji, której pochodzenie sprawdzają teraz weterynarze, badając, czy krowy ryczą z niemieckim akcentem. Kiedyś Polak wracał z Niemiec Passatem w dieslu, dziś wraca z całą oborą. Krowa – w przeciwieństwie do Volkswagena – nie wymaga cofania licznika, by dobrze wyglądać w oczach sąsiada.

▮ Bar Przystań w Sopocie zarobił w rok 16,6 mln zł na czysto, sprzedając 40 ton dorsza i 275 tys. porcji zupy. Właściciele nie planują nowych lokali i słusznie. Skoro jedna smażalnia przynosi więcej niż mały bank, to znaczy, że polski turysta jest gatunkiem znacznie bardziej dochodowym niż dorsz, a przy tym znacznie łatwiejszym do złowienia.

▮ Policja w Myślenicach użyła drona, by upolować 47 kierowców mrugających światłami w geście drogowej solidarności. Każdy z nich zapłacił 200 zł za „niewłaściwe użycie świateł”, bo w państwie prawa ostrzeganie bliźniego przed mundurowym zasadzcą jest zbrodnią przeciwko płynności finansowej budżetu. Budowa państwa opresji trwa.

▮ Związkowcy z Biedronki dali właścicielowi czas do 10 października na przyznanie 1000 zł podwyżki i zwiększenie zatrudnienia o 30 proc. Twierdzą, że praca w cieniu owada to „nadludzki wysiłek”, a obecne 6 tys. brutto nie rekompensuje lawirowania między paletami. Jeśli Jeronimo Martins nie sypnie groszem, grożą strajkiem i blokadą kas.

▮ W 2025 r. w Polsce urodziło się niespełna 240 tys. dzieci. Ponad 28 proc. z nich przyszło na świat poza małżeństwem – to około 67 tys. noworodków, czyli więcej niż co czwarty. Ślub najwyraźniej przestał być obowiązkowym przystankiem między randką a porodówką. Obyczaj się zmienia, ksiądz traci monopol na legalizowanie prokreacji, a bocian coraz częściej omija urząd stanu cywilnego. Problem w tym, że samych bocianów też jakby mniej: współczynnik dzietności spadł do zaledwie 1,068 dziecka na kobietę.

▮ Co trzeci Polak gnieździ się w lokalu, który Eurostat uznaje za przeludniony. Z wynikiem blisko 31 proc. jesteśmy dwa razy bardziej „rodzinni” niż reszta Unii, co daje nam zaszczytne piąte miejsce od końca – tuż za takimi potęgami komfortu jak Rumunia czy Bułgaria. Im mniej metrów kwadratowych na obywatela, tym łatwiej o narodową jedność, zwłaszcza gdy rano cała rodzina naraz próbuje dopchać się do jedynej umywalki.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

▮ Blisko 1,5 mln polskich mężczyzn zalega z płatnościami na łączną kwotę 55 mld zł. Największe długi generują alimenciarze (średnio 62 tys. zł na głowę), a rekordy niesolidności biją panowie w wieku 45–64 lata, zwłaszcza z Mazowsza. To dowód, że polski mężczyzna jest istotą niezwykle płodną w obietnice i równie jałową w ich dotrzymywaniu. Ojcostwo w naszym kraju kończy się na akcie strzelistym, a płacenie za jego skutki uważa się za zbędną ekstrawagancję.

▮ Karol Nawrocki, prezydent RP, postanowił zostać szlachcicem na zagrodzie, tyle że za pieniądze podatnika. W rezydencji w Promniku zainstalował prywatny zwierzyniec: kuca Edzia, fryzyjczyka Ramzesa i hucuła Aramisa. Kancelaria Prezydenta o kosztach zakupu milczy, zasłaniając się „bezpieczeństwem”, jakby koń fryzyjski był tajnym agentem, a nie kupą mięsa z ogonem. Szacuje się, że od lipca na sam owies i instruktorów poszło już 54 tys. zł.

▮ Polska lokalna zwija się z wdziękiem starego dywanu, z którego wytrzepano resztki życia. Od 2004 r. 70 proc. gmin wyludnia się tak skutecznie, jakby ogłoszono tam darmowe bilety w jedną stronę do cywilizacji. Młodzi

eprasa.pl d670026849

rzeń europejska



Ilustr. PAWEŁ FERENC

rocznie. Problem istniał, rozwiązanie wymagało naruszenia interesów wielkich producentów elektroniki, ale dało się. Tak jak i to, ile razy smartfon powinien spaść na podłogę i nadal żyć. Bateria ma wytrzymać co najmniej 800 cykli ładowania i rozładowania, zachowując co najmniej 80 proc. początkowej pojemności. Kluczowe części zamienne mają być dostępne przez co najmniej siedem lat po zakończeniu sprzedaży danego modelu.

Jeszcze większą troską otoczono brokat. Od 17 października 2023 r. zaczęło obowiązywać rozporządzenie ograniczające celowo dodawane mikroplastiki. Komisja musiała w związku z tym wyjaśniać obywatelom i przedsiębiorcom, który brokat wolno, którego nie wolno, kiedy wolno i dlaczego czasem jednak wolno.

Sezonowe przestawianie czasu nie jest jakąś ciekawostką, która nikomu nie przeszkadza. Cała procedura jego znoszenia ruszyła właśnie dlatego, że coraz więcej badań kwestionowało sens systemu. Sama komisja już w dokumentach z 2018 r. przyznawała, że argument energetyczny nie wygląda tak przekonująco jak dawniej. W rolnictwie analizowano nawet wpływ zmiany harmonogramu na rytm biologiczny zwierząt, karmienie i dojenie, choć komisja zauważała, że znaczenie problemu maleje dzięki automatyzacji, sztucznemu oświetleniu i nowoczesnym urządzeniom.

Powodów, aby temat załatwić, nie brakuje. Chętnych do jego załatwienia też nie. Jeszcze w 2025 r., podczas polskiej prezydencji w Radzie UE Warszawa próbowała temat odkurzyć. Państwa członkowskie znów o nim rozmawiały. Komisja, odpowiadając latem 2025 r. na pytanie eurodeputowanej Anny-Mai Henriksson, poinformowała, że aktywnie kontaktuje się z kolejnymi prezydencjami rady i państwami członkowskimi, badając „prawne i praktyczne kwestie" wynikające z wcześniejszych dyskusji. Następnie zapowiedziała nowe badanie.

Polskie 30 minut

Polskie pomysły na czas też są. PSL proponowało pozostanie przez cały rok przy czasie letnim. Argument jest prosty: koniec z przesuwaniem zegarów, więcej światła po południu i brak powtarzanych co pół roku zabaw z biologicznym oraz administracyjnym zegarem. Przeciwnicy odpowiadają równie sensownie, że przy stałym czasie letnim zimowe poranki zrobią się w Polsce bardzo ciemne, a na zachodzie kraju słońce może pojawiać się dopiero w okolicach godziny 9.00.

Pojawiła się również propozycja, by przeciąć zegar na pół. Fundacja „Można Lepiej!" wystąpiła z petycją dotyczącą czasu pośredniego, przesuniętego o 30 minut względem obecnych dwóch wariantów. Zamiast więc wybierać pomiędzy czasem zimowym i letnim, mielibyśmy własną połówkę. Petycja trafiła do senatu. Do europejskiego wyboru między dwoma czasami dołączył wariant trzeci. Gdyby jeszcze ktoś zaproponował różnicę 20 minut dla terenów górskich i kwadrans dla uzdrowisk, legislacyjne możliwości stałyby się właściwie nieograniczone.

Jesienią 2025 r. w Strasburgu temat wrócił jeszcze raz. Komisarz ds. zrównoważonego transportu i turystyki Apostolos Tzitzikostas przekonywał, że pora wreszcie skończyć z przestawianiem zegarków dwa razy do roku. Eurodeputowani też nawoływali państwa członkowskie, żeby zakończyły tę – jak padało w debacie – „nonsensowną sytuację".

W styczniu 2026 r. Tzitzikostas przekazał parlamentowi następny fascynujący komunikat. Otóż do tej pory żadne państwo członkowskie formalnie nie poinformowało komisji, czy w przyszłości wolałoby zostać na stałe przy czasie letnim, czy zimowym. Co prawda państwa nie mają obowiązku tego zgłaszać, więc komisja nie wie. Żeby pomóc w podejmowaniu decyzji po „ograniczonym postępie" prac nad projektem z 2018 r., uruchomiła następne badanie konsekwencji rezygnacji z sezonowej zmiany czasu. Wyniki mają być gotowe przed końcem 2026 r. Parlament Europejski w swoim systemie śledzenia prac legislacyjnych oznacza projekt z 2018 r. statusem „Blocked", czyli zablokowany, i jako instytucję blokującą wskazuje Radę UE.

Aż nadszedł marzec i Komisja Europejska podała, że w 2027 r. czas letni ma obowiązywać od 28 marca do 31 października, w 2028 – od 26 marca do 29 października, w 2029 – od 25 marca do 28 października, w 2030 – od 31 marca do 27 października, a w 2031 – od 30 marca do 26 października.

TOMASZ BOROWIECKI

z Hrubieszowa, Bartoszyc czy Krasnegostawu uciekają przed nudą, bezrobociem i proboszczem, redukując populację swoich małych ojczyzn o blisko 40 proc. Proces znikania Polski jest logiczny i konsekwentny: najpierw wyjeżdża każdy, kto ma choć gram ambicji, potem zamyka się szkołę, by nie drażnić analfabetów, a na końcu zostaje już tylko wójt, który z powagą godną cesarza administruje absolutną pustką.

▮ W Zakopanem wybuchła epidemia rzekomego pomoru drobiu, który – mimo mylącej nazwy – morduje kury z brutalną szczerością. Ptactwo dostaje skrętów szyi, biegunki i umiera, a wojewoda ogłosił Zakopane i okolice strefą zapowietrzoną. Obowiązuje areszt domowy dla kur, kaczek i gęsi, dezynfekcja i zakaz ptasich wędrówek między gospodarstwami. Czyli do Zakopanego się nie wybieramy, bo jak to z tym „rzekomym pomorem" jest naprawdę, to nie wiadomo.

▮ W Szczecinie organa ścigania dosłownie zrozumiały swoją nazwę. Dwóch policjantów oskarżono o zgwałcenie mężczyzny, który wcześniej sam zgwałcił niemowlę. To nowatorska metoda resocjalizacji: oko za oko, odbyt za odbyt. Funkcjonariusze najwyraźniej uznali, że kodeks karny jest zbyt nudny, więc postanowili wzbogacić go o elementy starotestamentowej zemsty. Sprawa wyszła na jaw dzięki donosowi koleżanki z komisariatu, co dowodzi, że solidarność zawodowa w policji kończy się tam, gdzie zaczyna się wspólne uprawianie paragrafów. Sąd, z typowym dla siebie poczuciem humoru, wypuścił oskarżonych z aresztu. Najwyraźniej uznano, że gwałt w celach wychowawczych to czyn o niskiej szkodliwości społecznej.

▮ W lubińskim zoo urządzono Hubertusa, czyli piknik dla hobbystów mordowania przyrody. W programie znalazły się wykłady o tradycji oraz warsztaty z ćwiartowania sarniny, co dyrekcja ogrodu z dumą nazywa „edukacją". Protestujący krzyczeli „won do lasu", ale Polski Związek Łowiecki uspokaja: broni nie wniesiono, więc zwierzęta w klatkach mogły przyglądać się swoim oprawcom bez obawy o nagłą śmierć. To genialne posunięcie pedagogiczne: pokazywanie dzieciom żywych zwierząt, a chwilę później serwowanie ich zwłok w formie gulaszu, uczy realizmu znacznie lepiej niż mdłe bajki Disneya.

▮ Szpital w Miastku zbankrutował, co jest jedynym skutecznym zabiegiem, jaki tam ostatnio przeprowadzono. Placówka zostawiła 40 mln długu i 180 bezrobotnych, a NFZ dołożył 13 mln kary za leczenie pacjentów, którzy istnieli tylko w wyobraźni księgowych. Prokuratura w Słupsku bada 2,5 tys. takich cudownych uzdrowień. Wniosek jest optymistyczny: leczenie się nie opłaca, za to eutanazja to czysty zysk. Pustka po chorym jest znacznie tańsza w utrzymaniu niż jego marudne życie.

RJ

PS Powyższe informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej z różnych zakątków kraju i z tego względu zaleca się powstrzymanie od wyciągania z nich wniosków ogólnych, szczegółowych, prawnych, bezprawnych oraz jakichkolwiek innych. Czytelnik przyjmuje zatem do wiadomości, że fakty mogą być prawdziwe, częściowo prawdziwe albo prawdziwe w takim sensie, w jakim rozumiano to w powiecie, z którego nadeszły.

Życie W DOBROBYCIE

● Sponsor to taki ktoś, kto daje pieniądze, żeby jego nazwa dobrze się kojarzyła. W sporcie firma wykłada miliony, jej logo pojawia się na bandach, koszulkach i w telewizji, a kibice mają zapamiętać, że przedsiębiorstwo jest blisko ich ukochanej drużyny. Biedronka wspiera reprezentację Polski w piłce nożnej od 2010 r., więc wytrzymała z nią około 16 lat. Ostatnia umowa wygasła z końcem lipca 2026 r., a obecne rozmowy między stronami mają być już „wyłącznie kurtuazyjne". Jako przyczyny niechęci do dalszej współpracy wskazywane są słabe wyniki reprezentacji oraz problemy wizerunkowe PZPN. Sponsorowanie sukcesów brzmi reklamowo znakomicie. Płacenie za możliwość firmowania kolejnych dyskusji o tym, dlaczego znowu nie wyszło, już trochę gorzej. Kontrakt Orlenu z PZPN wygasł z końcem sierpnia 2026 r., a nowy zarząd Orlenu nie zaakceptował warunków wynegocjowanych jeszcze za czasów Daniela Obajtka. Rozmowy trwają, ale jednym z ich tematów ma być obniżenie wartości sponsoringu. A jest co obniżać. Trzyletnia umowa podpisana w 2023 r. gwarantowała PZPN co najmniej 134 mln zł. Kolejne 36 mln zł zależało od wyników sportowych. Razem wychodzi więc 170 mln zł, czyli dużo więcej, niż państwo wydaje na bary mleczne. Ze sponsorowania PZPN wycofał się już InPost, którego kontrakt miał być wart około 10 mln zł rocznie. Umowy nie przedłużyła również Polska Grupa Uzdrowisk poprzez markę Staropolanka, a z federacją rozstał się także TCL. Biznes ma jedną przewagę nad kibicem: kibic po kolejnej klęsce może powiedzieć, że ma dość, po czym przy następnych eliminacjach znowu założy biało-czerwony szalik i włączy telewizor. Firma ma księgowego. Księgowy zaś może dojść do wniosku, że dawanie pieniędzy na polską piłkę coraz bardziej przypomina wrzucanie ich do Rowu Mariańskiego. Z tą różnicą, że Rów Mariański przynajmniej nigdy nie obiecywał awansu.

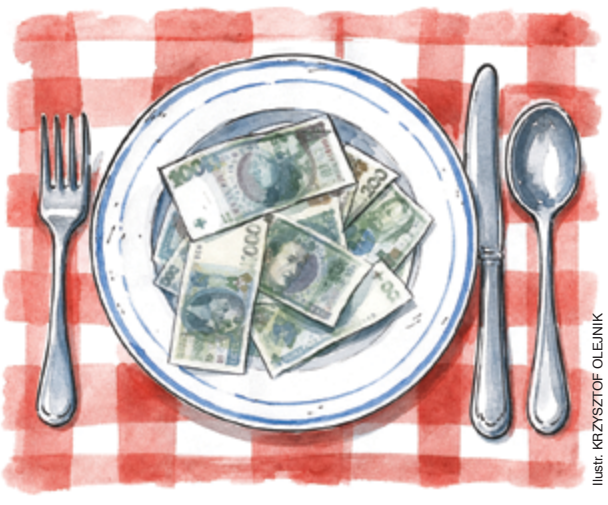
● Konsumpcja jest terminem, który ekonomiści lubią prawie tak bardzo jak wzrost PKB. Im ludzie więcej kupują, tym więcej zarabiają sklepy i producenci, państwo zbiera więcej VAT-u, gospodarka się kręci, a eksperci mogą opowiadać, że obywatelom żyje się lepiej. A z konsumpcją w 20. gospodarce świata zaczyna być problem. W pierwszym półroczu 2026 r. wolumen zakupów zmniejszył się o 3,7 proc., podczas gdy średnie ceny wzrosły o 3,5 proc. W rezultacie polskie gospodarstwa domowe wydały na podstawowe towary 140,2 mld zł i było to nieznacznie mniej niż rok wcześniej. Polacy zostawiają więc w sklepach prawie tyle samo pieniędzy co wcześniej, tyle że wracają do domu z mniejszą ilością towaru. Klient patrzy nie tylko na to, co chce kupić, ale ile tego jest w opakowaniu, ile kosztuje kilogram, czy obok nie leży coś tańszego i czy za dwa dni nie zaczyna się promocja. W pierwszym półroczu produkty kupowane w ekstraofercie odpowiadały już za 34,6 proc. wartości zakupów. Znaczy to, że więcej niż co trzecia złotówka wydawana na badanym rynku przypadała na towary objęte jakąś promocyjną ofertą. Klient robi się też pamiętliwy. Aż 53 proc. Polaków deklaruje gotowość do bojkotu marki albo sieci handlowej w przypadku nieuzasadnionych podwyżek cen, zaś 39 proc. może zrezygnować z zakupów w reakcji na reklamę, którą uzna za wprowadzającą w błąd. Żeby jednak nie wyszło, że Polak zamienił się w ascetę żywiącego się wodą i przecenionym chlebem, są rzeczy, na które pieniądze wciąż znajduje. Chodzi przede wszystkim o zdrowie, kondycję i wygodę. Wartość zakupów tych produktów wzrosła w pierwszym półroczu aż o 21,1 proc., a po produkty z tej grupy sięga już 71,1 proc. polskich gospodarstw domowych. Pieniądze znajdujemy również na oszczędzanie czasu. Chłodzone dania gotowe zwiększyły wartość zakupów o 12,2 proc. rok do roku i stały się jednym z najszybciej rosnących segmentów rynku. Można uznać, że wszystko to jest oznaką niezwykłego dojrzewania konsumentów. Tyle że istnieje prostsze wyjaśnienie. Człowiek zaczyna wyjątkowo uważnie patrzeć na ceny najczęściej nie wtedy, gdy nie wie, co zrobić z nadmiarem pieniędzy, ale wtedy, gdy musi pilnować, żeby wystarczyło mu ich na wszystko.

● Człowiek przez całe życie może odkładać pieniądze w banku, bank może mu przy tym tłumaczyć, że konto jest jego, pieniądze są jego, aplikacja jest jego i karta też. Jednak gdy się umrze, karta przestaje być szczególnie przydatna, aplikacji zmarły raczej już nie uruchomi, a zgromadzone pieniądze zaczynają żyć życiem regulowanym przez prawo bankowe i prawo spadkowe. PKO BP właśnie przypomniał klientom obowiązujące w 2026 r. kwoty. Pierwsza wynosi 3604,50 zł i oznacza pieniądze wolne od zajęcia na podstawie sądowego albo administracyjnego tytułu wykonawczego. To 75 proc. minimalnego wynagrodzenia i ze śmiercią właściciela rachunku nie ma nic wspólnego. Znacznie ciekawsza jest druga liczba – 185 005 zł. GUS wyliczył, że przeciętne miesięczne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw bez nagród z zysku wyniosło w sierpniu 2026 r. 9250,25 zł. Ponieważ prawo bankowe ustala maksymalną dyspozycję wkładem na wypadek śmierci na poziomie 20-krotności odpowiedniego przeciętnego wynagrodzenia, 9250,25 zł pomnożone przez 20 daje dokładnie 185 005 zł. Posiadacz rachunku może więc pisemnie polecić bankowi, żeby po jego śmierci wypłacił pieniądze wskazanym bliskim. Nie każdemu jednak, bo ustawa wymienia małżonka, rodziców, dziadków, dzieci, wnuki oraz rodzeństwo. Nie oznacza to jednak, że bez takiej dyspozycji rodzina musi najpierw sfinansować cały pogrzeb z własnej kieszeni i czekać na zakończenie sprawy spadkowej. Artykuł 55 prawa bankowego stanowi, że po śmierci właściciela rachunku bank wypłaca z jego konta osobie, która zapłaciła za pogrzeb, kwotę poniesionych kosztów po przedstawieniu odpowiednich rachunków. Wydatki muszą odpowiadać kosztom urządzenia pogrzebu „zgodnie ze zwyczajami przyjętymi w danym środowisku", a wypłacone w ten sposób pieniądze również nie wchodzą do spadku. Czyli pieniądze są, tylko najpierw trzeba zapłacić, zachować dokumenty oraz wystąpić do banku o ich zwrot. I to wszystko należy zrobić właśnie po śmierci.

● Składka to taki podatek na własną emeryturę, leczenie, bezrobocie i mnóstwo innych rzeczy. W 2027 r. składki mają przekroczyć 660 mld zł. Będzie to więcej, niż wyniosą dochody podatkowe budżetu państwa. Z tej góry pieniędzy Fundusz Ubezpieczeń Społecznych ma dostać 428,8 mld zł, a Narodowy Fundusz Zdrowia 194,4 mld zł. Razem daje to 623,2 mld zł. Po przeliczeniu tych pieniędzy na pracujących wychodzi, że na każdego przypadnie ponad 38,5 tys. zł. Kwota ta jest na dodatek statystycznie upiększona, bo w jednym worku znajdują się pracownicy, samozatrudnieni i płacący znacznie niższe składki rolnicy. Gdy tych ostatnich wyjąć z rachunku, na jednego pracownika lub samozatrudnionego przypadnie ponad 41,5 tys.zł rocznie, bo składki stanowią ponad 36 proc. wynagrodzenia brutto. Dzięki takim pieniądzom powinniśmy mieć krótsze kolejki do lekarzy, błyskawicznie działające przychodnie i urzędników ZUS witających petentów uśmiechem od ucha do ucha. Ale nie przesadzajmy, za ponad 600 mld nie można mieć wszystkiego.

● Rząd znów daje ludziom pieniądze. Tym razem nie do ręki, ale za pośrednictwem zupy, naleśników i placków ziemniaczanych. W przyszłym roku państwo zamierza przeznaczyć na dotowanie barów mlecznych rekordowe 95,35 mln zł. W tym roku na ten cel idzie 70 mln zł, więc przyrost wynosi ponad jedną trzecią. Można zatem ogłosić, że rząd zwiększa pomoc o ponad 35 proc. Tyle że prawie 100 mln zł wygląda jak góra pieniędzy głównie wtedy, gdy nie napisze się obok, ile wydaje państwo. A dotacje do barów stanowią niecałe 0,01 proc. tej kwoty. Żeby jednak rządowi nie odbierać zasług, w barach rzeczywiście można tanio zjeść. Porcja zupy kosztuje mniej niż 8 zł, dwa naleśniki z dżemem – 9 zł, cztery placki ziemniaczane – niewiele ponad 7 zł, a kawa lub herbata – mniej niż 8 zł. Niskie ceny biorą się stąd, że państwo dopłaca 70 proc. wartości produktów, przy czym dotowane są obecnie wyłącznie dania jarskie, a korzystający z publicznych pieniędzy bar nie może dowolnie zwiększać marży. W 2025 r. państwo dopłacało średnio do 107 barów mlecznych, natomiast w pierwszej połowie 2026 r. pieniądze dostawało już 116 jadłodajni. Tyle że 116 dotowanych barów na cały kraj nie tworzy powszechnego systemu taniego żywienia. Najpierw trzeba mieć szczęście i mieszkać tam, gdzie taki lokal w ogóle istnieje. Mieszkaniec miejscowości bez baru mlecznego dokłada się podatkami do programu tak samo jak wszyscy, ale zupy za mniej niż 8 zł dzięki temu nie dostanie. Niski dochód nie daje prawa do tańszej zupy, a wysoki tego prawa nie odbiera. Biedny emeryt mieszkający tam, gdzie baru mlecznego nie ma, nie dostanie nic, natomiast zamożny mieszkaniec centrum dużego miasta może korzystać z dotowanych obiadów codziennie.

TTJ



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl d670026849

Ekonomia zbawienia

To biskup też nie wie, ile zarabia jego proboszcz?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Przez lata finanse parafialne działały według systemu prostego, choć dla wiernych równie czytelnego jak księgowość Watykanu. Parafianin wrzucał na tacę, płacił za intencję, dawał kopertę po kolędzie, szedł z pieniędzmi na chrzest, ślub albo pogrzeb, a potem mógł najwyżej zastanawiać się, ile z tego dostał ksiądz, ile parafia, a ile kuria. Teraz w Katowicach postanowiono zrobić z tym porządek.

Taca nie dla plebana

Metropolita katowicki abpe Andrzej Przybylski powołał Komisję ds. reformy finansów parafii i wynagrodzeń księży. Dwa dni później jej członkowie dostali dekrety, a hierarcha zaczął tłumaczyć wiernym, że kościelne pieniądze wcale nie funkcjonują tak, jak wielu z nich sądzi. Komisja ma przeanalizować dotychczasowe rozwiązania i przygotować system dostosowany do „aktualnych uwarunkowań ekonomicznych". Nie brzmi jak komunikat zarządu spółki?

Najpierw trzeba rozprawić się z największym finansowym nieporozumieniem – przynajmniej według metropolity katowickiego. Pieniądze wrzucane w niedzielę na tacę nie są pensją księdza. Abpe Przybylski tłumaczy, że mają iść na ogrzewanie kościoła, prąd, wodę, remont dachu, malowanie ścian, naprawianie organów, utrzymanie infrastruktury i całą resztę wydatków związanych z tym, że kościół – poza byciem miejscem kultu – jest budynkiem. A budynek, zwłaszcza wielki, zabytkowy i ogrzewany zimą, ma tę właściwość, że rachunki płacić trzeba niezależnie od tego, ilu wiernych przyszło w niedzielę.

„Pieniądze z tacy nie trafiają do kieszeni duchownych" – wyjaśnia oficjalny komunikat archidiecezji. Ksiądz ma żyć z czego innego. Przede wszystkim ze stypendiów mszalnych, czyli ofiar składanych przy zamawianiu intencji, oraz z dobrowolnych ofiar związanych z sakramentami. Dobrowolnych – to słowo jest dla Kościoła ważne. Nie ma bowiem kościelnej taryfy urzędowej pod tytułem chrzest – 300 zł, ślub – 1000, pogrzeb – 1500. Są to ofiary, a nie ceny sakramentu ani zapłaty za usługę. Co oczywiście nie oznacza, że wierny nigdy nie słyszał przy kancelaryjnym okienku sugerowanej sumy. Takie ofiary określa się mianem iura stolae, czyli prawa stuły. W praktyce chodzi o pieniądze przekazywane przy okazji chrztów, ślubów, pogrzebów oraz niektórych czynności kancelaryjnych. I właśnie tu zaczyna się ekonomiczny problem współczesnego polskiego Kościoła, bo sakramentów ubywa.

Jeszcze niedawno rodziło się dziecko – był chrzest. Dorastało – pierwsza komunia i bierzmowanie. Potem ślub. Na końcu pogrzeb. Po drodze msze za babcię, dziadka, ciocię, zdrowie syna, zdany egzamin córki i szczęśliwą operację szwagra. Do tego kolęda i niedzielna taca.

Tyle że demografia i zeświecczenie zaczęły kościelnemu modelowi biznesowemu zaglądać do portfela. W 2023 r. w Polsce udzielono 267,2 tys. chrztów. Rok później już tylko 247,2 tys. – spadek wyniósł 7,5 proc. Jeszcze mocniej poleciały bierzmowania. W 2023 r. sakrament przyjęło około 294 tys. osób, a w 2024 r. niespełna 213 tys. – spadek o 27,6 proc. W przypadku ślubów kościelnych w 2023 r. było ich 77,2 tys., zaś rok później 68,3 tys. par. W rok z kościelnych statystyk wyparowało 11,6 proc. ślubów.

Jeżeli zaś ksiądz utrzymuje się między innymi z intencji i kasy za sakramenty, to każde 10 tys. ślubów mniej jest nie tylko zmianą kulturową. A końca spadków nie widać.

Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego wyliczył, że w 2024 r. wskaźnik dominicantes, czyli udział zobowiązanych katolików obecnych na niedzielnej mszy, wynosił 29,6 proc. Co prawda był o 0,57 pkt proc. wyższy niż rok wcześniej, ale przed pandemią wynosił 36,9 proc. Odsetek communicantes, czyli przystępujących do komunii, wyniósł 14,6 proc. Kościół ma mniej klientów, ale ci, którzy zostali, są bardziej zaangażowani. Jednak zaangażowanie nie ogrzeje kościoła.

Na własnym rozrachunku

Największym problemem w tłumaczeniu kościelnych finansów jest to, że nie istnieje jedna ogólnopolska pensja księdza. Proboszcz nie dostaje pierwszego dnia miesiąca przelewu od prezesa episkopatu, a wikariusz nie ma zaszeregowania jak nauczyciel albo policjant.

Dochody zależą od parafii, diecezjalnych zasad, liczby intencji, pogrzebów, ślubów, chrztów, kolędy, dodatkowego zatrudnienia i paru innych okoliczności. Dlatego dwóch księży wykonujących formalnie podobną pracę może znajdować się w zupełnie innej sytuacji finansowej.

Jak wielka może być różnica, pokazuje jedna z nielicznych parafii, która postanowiła zrobić to, czego Przybylski chce teraz dla Katowic – pokazać liczby. Parafia w Winnicy opublikowała rozliczenie, z którego wyszło, że przy pogrzebie sugerowano ofiarę 2 tys. zł, z czego tysiąc przypadał księżom, a drugi pracownikom. Przy ślubie było to 1100 zł – 600 zł dla księży i 500 dla pracowników. Przy chrzcie 200 zł dzielone po połowie. Parafia zaznaczała przy tym wyraźnie, że są to sumy sugerowane, a nie obowiązkowe.

W ciągu całego 2024 r. proboszcz dostał z iura stolae 35 862 zł, zaś wikary 9158 zł. Z wypominek proboszczowi przypadło 20 272 zł, wikaremu 5068 zł, z kolędy – odpowiednio 11 841 zł oraz 5920,50 zł. Do tego dochodziły intencje – 17 782 zł dla proboszcza i 17 007 zł dla wikarego. Proboszcz dostał jeszcze 1286,71 zł z dopłat związanych z około 3 ha ziemi.

Po podliczeniu wszystkich parafialnych źródeł proboszcz miał 87 043,71 zł rocznego przychodu, czyli przeciętnie 7253,64 zł miesięcznie. Wikary 37 153,50 zł rocznie, czyli 3096 zł miesięcznie. Tyle że to przychód, a nie pieniądze na rękę. Duchowny musi z tego opłacać podatek, składki oraz świadczenia jeszcze tabeli nowych pensji ani funduszu wyrównawczego. Nie wiadomo, czy księża mają otrzymywać bardziej stałe wynagrodzenia, czy bogatsze parafie będą mocniej finansowały biedniejsze, czy zmienią się zasady podziału iura stolae, stypendiów i innych wpływów.

Reforma reformy

Przybylski prochu nie wymyślił. Już w 2024 r., gdy metropolitą katowickim był abp Galbas, w kurii spotkały się dwie komisje. Jedna zajmowała się reformą finansów diecezji i parafii, druga reformą wynagrodzeń księży. Zaplanowano konsultacje, internetową ankietę dla duchownych, rozmowy z wybranymi parafiami oraz Radą Ekonomiczną. W ciągu trzech miesięcy komisje miały spotkać się w czterech miejscach archidiecezji z proboszczami i zainteresowanymi reformą księżmi. Czyli obecna komisja nie jest początkiem reformy.

Pojawił się jednak problem nieco zabawny. Skoro reforma ma przynieść transparentność wobec wiernych, ktoś zapytał, dlaczego w komisji nie ma świeckich? A reforma ma przecież – według samego metropolity – skończyć z „wiedzą tajemną". Wierny ma wiedzieć, co dzieje się z pieniędzmi, które daje Kościołowi. Jeśli zatem efektem prac będzie dokument krążący między kurią i proboszczami, a parafianin nadal będzie znał budżet swojej parafii wyłącznie z niedzielnego komunikatu, że remont dachu kosztuje dużo i trzeba być hojnym, to transparentność pozostanie głównie słowem.

Reforma Przybylskiego nie polega więc na tym, że od jutra wikary dostanie 6000 zł brutto, proboszcz – 8500, a dziekan – premię funkcyjną. Nie ogłoszono również, że znikną ofiary za sakramenty. Bo tak naprawdę chodzi o to, żeby diecezja wiedziała, jakie są przychody parafii po to, by efektywniej strzyc swoje owieczki w sutannach.

TADEUSZ JASIŃSKI

Pogłoski o śmierci Kościoła kat. i zobojętnieniu ludzi na jego sprawy są przedwczesne. Przynajmniej w niektórych miejscach Polski parafianie są zaangażowani nawet bardziej, niż życzyliby sobie tego hierarchowie. Bastionem katolicyzmu walczącego jest parafia św. Wawrzyńca w małopolskim Grojcu (diecezja bielsko-żywiecka).

Demokracja po papiesku

Poprzedni papież Franciszek wymyślił sobie Kościół synodalny, czyli ciut bardziej demokratyczny. Taki, w którym głos mają nie tylko księża, ale i świeccy. Według tego pomysłu parafianie mają brać czynny udział w życiu parafii, współdecydować o jej losach i zasobach. Parafia i diecezja – według Franciszka – nie należą wyłącznie do proboszcza lub biskupa, lecz stanowią wspólnotę, za którą odpowiadają wszyscy jej członkowie. Leon XIV podtrzymuje zdanie poprzednika, ale taka deklerykalizacja to przecież zerwanie z odwieczną tradycją Kościoła, stąd ma też swoich przeciwników. Synodalność w kręgach konserwatywnych uchodzi za nowinkarstwo i herezję, bo sprzeciwia się bożemu porządkowi. Choć diecezja bielsko-żywiecka to region konserwatywny, wierni zbuntowali się przeciwko klerykalnemu ustrojowi kościelnemu i potraktowali biskupa tak, że zaciekli antyklerykałowie mogli poczuć się zawstydzeni.

Pewne jest tylko to, że poszło o odwołanie proboszcza. Co do szczegółów sprawy, relacje stron są diametralnie różne. Przyczyną zamieszania jest decyzja bepe Romana Pindla o odwołaniu z funkcji proboszcza ks. Józefa Zborka. Parafianie się z tą dymisją nie pogodzili i wzięli sprawy we własne ręce. Dosłownie. W nocy z 4 na 5 października biskup został odholowany do swojego pałacu przez policję, bo wierni chcieli mu zrobić kuku.

Kronika diecezjalna

Zdarzenie szczegółowo opisało centrum medialne diecezji bielsko-żywieckiej: „Po spotkaniu Ksiądz Biskup przeszedł do kościoła, gdzie trwała adoracja Najświętszego Sakramentu. Ks. Wikariusz udzielił błogosławień-

WIEŚCI Z KRUCHTY



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ Prokurator rejonowy w Goleniowie skierował do sądu akt oskarżenia przeciwko 62-letniemu księdzu Januszowi Z. oskarżonemu o popełnienie przestępstwa przeciwko wolności seksualnej na szkodę małoletniego chłopca. Śledztwo w sprawie wszczęto w 2025 r., jednak dotyczy zdarzeń, do których dochodziło dekadę wcześniej. Klecha świadczył wówczas posługę duszpasterską w parafii na terenie jednego z miast województwa zachodniopomorskiego, gdzie poznał pokrzywdzonego, który był ministrantem. Ks. Janusz Z. dopuszczał się wobec nastolatka innych czynności seksualnych w trakcie udzielania mu korepetycji. Pokrzywdzony miał wówczas mniej niż 15 lat. Duchowny-pedofil nie przyznaje się do winy. Grozi mu do 15 lat pierdzenia w pasiaki.

✚ Za sprawą fundacji AboTak w Warszawie przy ulicy Wiejskiej pojawił się abortomat. Urządzenie przypomina popularne paczkomaty, można do niego zamówić tabletki poronne z fundacji Women Help Woman. Zostało zaprojektowane w taki sposób, aby po wbiciu kodu i naciśnięciu guzika wydać znajdujące się w skrytce leki aborcyjne. Głos w sprawie zabrał Referat Duszpasterstwa Rodzin Archidiecezji Warszawskiej. „Technologia nie może zmieniać podstawowej odpowiedzialności za życie. Dlatego zdecydowanie sprzeciwiamy się wszelkim działaniom, które ułatwiają pozbawienie życia dziecka poczętego" – napisali w oświadczeniu ginekolodzy w koloratkach. Pewnie te same teksty duchownych można było usłyszeć po wynalezieniu drucianych wieszaków.

✚ Na 14 lat odsiadki skazano księdza Jacka K. z parafii w Mostku pod Olkuszem, oskarżonego o molestowanie dzieci i posiadanie pornografii dziecięcej. Duchowny został zatrzymany w październiku 2024 r. Prokuratura postawiła mu 10 zarzutów. Dziewięć dotyczyło molestowania, gwałtów oraz współżycia z dziewczynkami poniżej 15. roku życia. Pokrzywdzonych zostało siedem dziewczynek. Z ustaleń śledczych wynikało, że klecha wykorzystywał zaufanie dzieci, które były nieśmiałe lub znajdowały się w trudnej sytuacji życiowej. Wcześniej ks. Jacek K. pracował jako katecheta. Był oskarżany o obmacywanie uczennic i został przeniesiony do innej parafii. Na trop przestępcy śledczy wpadli dzięki notesowi innego księdza. Chodzi o Roberta Sz., który w marcu 2023 r. przy ul. Kościelnej w Sosnowcu zaatakował nożem i kilkukrotnie postrzelił 26-letniego diakona Mateusza B. Ofiara zmarła, a ks. Robert Sz. tego samego dnia rzucił się pod pociąg. Podczas przeszukania mieszkania duchownego funkcjonariusze znaleźli zapiski z nazwiskami księży i krótkimi notatkami dotyczącymi ich wyskoków. Po koloratce do kłębka.

✚ Na dwa miesiące trafił do aresztu pochodzący z Jasła ks. Karol H. Wikariusz jednej z parafii w Głogowie Małopolskim uczył dzieci religii. Jak się okazało, po godzinach księżulo uprawiał stalking. Postępowanie przeciwko księdzu prowadzi Prokuratura Rejonowa dla miasta Rzeszów. Według niej wikariusz śledził, uporczywie nękał, potajemnie fotografował i szantażował swoją ofiarę. Za pośrednictwem mediów społecznościowych i komunikatorów wysyłał pokrzywdzonemu wiadomości, w których udowadniał, że wie, gdzie ten w danym momencie przebywa i czym się zajmuje. Posiadał również szczegółowe informacje o rodzinie pokrzywdzonego. Klecha fizycznie śledził ofiarę w miejscach publicznych, nagrywał ją i fotografował, a zebrane materiały wysyłał pokrzywdzonemu i jego znajomym. Za popełnione przestępstwo duchownemu grozi osiem lat pierdla.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl d670026849

Schizma grojecka

Biskup już nie wisi, za to dostał po buzi



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

stwa Najświętszym Sakramentem wszystkim licznie zebranym. Ks. Biskup podszedł do mikrofonu przy ołtarzu. Podziękował za modlitwę. Nie zdążył powiedzieć nic więcej, ponieważ do kościoła wtargnął agresywny tłum osób wykrzykujących przekleństwa. W celu uniknięcia zbezczeszczania świątyni i ratowania swojego bezpieczeństwa Ksiądz Biskup z kilkoma kapłanami poszedł do zakrystii kościoła i chciał wyjść na zewnątrz. Tam spotkał kolejny tłum agresywnych osób. Zaczęli krzyczeć, przeklinać, ciągnąć za ręce – szarpali ks. Biskupem, ks. Markiem Studenskim i ks. Stanisławem Morawą. Wepchnęli grupę kapłanów z Księdzem Biskupem z powrotem do kościoła. Tam odgrodzono drogę grupie kapłanów. Wiele osób wykrzykiwało pytania, naprzemiennie z przekleństwami i agresywnymi zdaniami. Trwało to kilkanaście minut aż do przybycia policji, która zaprowadziła grupę kapłanów do pomieszczenia przykościelnego. W obecności negocjatorów z Małopolskiej Policji Ksiądz Biskup wyszedł do osób zgromadzonych przed kościołem i wyjaśnił, że decyzja odwołania proboszcza potwierdzona przez Stolicę Apostolską jest ostateczna. Ze względu na ochronę prywatności księdza Józefa Zborka o przyczynach odwołania może poinformować tylko sam Zainteresowany. Ksiądz biskup Roman Pindel, ks. Marek Studenski (wikariusz generalny), ks. Piotr Hoffmann (dyrektor wydziału duszpasterstwa ogólnego), ks. dziekan Bogusław Wądrzyk zostało uwolnionych w okolicy godziny 1.00 w nocy dzięki sprawnej akcji policji. Wyrażamy wdzięczność policjantom na służbie za pomoc i wsparcie oraz negocjatorom z Krakowa za pomoc w rozwiązaniu sytuacji, która zagrażała zdrowiu i życiu kapłanów".

Po pierwsze, podziwiać należy rzeczowość komunikatu kurii. Zazwyczaj oświadczenia rzeczników diecezji są mętne, a tutaj – gdy w grę wchodzi atak na biskupa – mamy same konkrety. Ale jako się rzekło, powody odwołania księdza nie są już tak oczywiste. Parafianie twierdzą, że ich proboszcz padł ofiarą biskupa, bo jest za dobry. W komentarzach da się wyczytać, że Józef Zborek uchodzi wśród lokalnej społeczności za tzw. księdza z powołania – nie wymaga opłat za sakramenty, nie robi problemów z chrztami i ślubami, zalega za to z daninami dla kurii. Słowem, robi to, co godzi w korporacyjne interesy Kościoła i psuje rynek usług religijnych.

Dwie strony medalika

Biskup Pindel w narracji parafian robi za szwarccharakter. Jest tym, który chce zniszczyć dobrego księdza i pozbawić wiernych wspaniałego duszpasterza. Tymczasem w opowieści kurii bielsko-żywieckiej to ks. Zborek jest winny całej sytuacji. Wersja biskupa jest taka, że powodem odwołania proboszcza było „stwierdzenie i udowodnienie poważnych nieprawidłowości w wypełnianiu urzędu". „Poważne nieprawidłowości" to termin pojemny, ale kuria milczy co do szczegółów. Może to być przecież zarówno pedofilia, jak i niepłacenie składek dla biskupa. Rzeczniczka diecezji powiedziała „Faktowi": „Nie możemy wyciągać grzechów drugiej osoby na światło dzienne. Ksiądz Józef ma prawo do ochrony dóbr osobistych. Milczymy w trosce o wartość drugiego człowieka. Ksiądz Józef sam może o tym publicznie powiedzieć, a jednak od dwóch lat nie zabiera głosu w tej sprawie".

Wiemy zatem, że postępowanie w sprawie trwa od dwóch lat i dotarło do Watykanu. Ksiądz podobno przyznał się do tego, co mu zarzucano, ale parafianom nie raczył powiedzieć, o co poszło. Biskup zaś nie mógł, bo nie może ujawniać takich informacji. „Dykasteria ds. Duchowieństwa potwierdziła słuszność decyzji Księdza Biskupa, a postępowanie zostało definitywnie zakończone na mocy decyzji Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej" – czytamy w komunikacie. Z tym że ciągle nie wiadomo, o co tak naprawdę chodzi.

Wyklęty lud grojecki

Wierni z parafii św. Wawrzyńca nie chcą oddać proboszcza, za to pozbyli się biskupa. Dramatycznej nocy, gdy Pindla musiała eskortować policja, oddali ekscelencji jego portret, który wisiał w zakrystii obok zdjęcia papieża. Miał to być znak wypowiedzenia posłuszeństwa. W dodatku ci, którzy zaatakowali biskupa, ściągnęli na siebie interdykt, czyli prawie ekskomunikę. Prawo kanoniczne przewiduje takie przypadki i w razie czego grozi agresorom piekłem. Za strzelenie w pysk papieża jest ekskomunika, za biskupa interdykt, czyli lżejsza jej wersja. „Kto stosuje przemoc fizyczną wobec Biskupa Rzymskiego, zaciąga ekskomunikę latae sententiae zarezerwowaną dla Stolicy Apostolskiej; jeżeli jest duchownym, można do tej kary dodać, w zależności od ciężkości przestępstwa, także inną karę, nie wyłączając wydalenia ze stanu duchownego. Kto czyni to samo względem posiadającego sakrę biskupią, zaciąga interdykt latae sententiae, a jeżeli jest duchownym, również suspensę latae sententiae" – postanowili kościelni prawnicy na wypadek przypadków takich jak w Grojcu.

Parafianie ks. Zborka niespecjalnie się przejmują karami kościelnymi, nad prawo kanoniczne stawiają bowiem lojalność wobec proboszcza. Mediom mówią: „Luter już raz był, teraz kolej na nas".

Przed II wojną światową zdarzało się w Polsce, że całe parafie przechodziły z proboszczem do innego Kościoła, np. do mariawitów. A skoro straszą nas, że mamy czasy przedwojenne, to może i ta kościelna tradycja wróci.

MATT KOBOSKO

Magda Gesler w habicie

Wieczne gotowanie racz jej dać Panie



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zmarła siostra Anastazja Pustelnik. Nawet stojący jak najdalej od Kościoła ją znają, jeśli stali kiedyś w kolejce na poczcie. Nieboszczka była bowiem autorką bestsellerowych książek kucharskich stanowiących nieodłączny element każdego szanującego się punktu pocztowego.

Siostra Anastazja była także fenomenem internetowym. Do tego stopnia, że wielu dopiero po jej śmierci dowiedziało się, że ona istniała naprawdę. Wielu myślało, że „siostra Anastazja" to produkt marketingowy wydawnictwa, który ma przyciągnąć kupców książek ufających osobom w habitach. Tymczasem okazało się, że to prawdziwa postać. W sieci roi się od memów-przeróbek okładek jej książek, których wydała aż 17 i to z wielkim sukcesem.

Heheszki heheszkami, ale Anastazji Pustelnik pozazdrościć może niemal każdy autor w Polsce. Szacuje się, że sprzedała około czterech milionów egzemplarzy swoich książek kucharskich. Dystrybucja w placówkach pocztowych na pewno sprzyjała tak zawrotnym wynikom, zwłaszcza w czasach, kiedy przepisy nie były tak łatwo dostępne w internecie, a płatności dokonywano właśnie na pocztach, a nie w aplikacjach na smartfonie. Model biznesowy był więc skuteczny.

Jeżeli jednak siostra Anastazja żyła według deklarowanych reguł zakonnych, to nie miała ze swojej twórczości ani grosza.

Ślub posłuszeństwa wymusza na zakonnikach oddawanie całego zarobionego hajsu przełożonym w zamian za kieszonkowe, które ledwo wystarcza na przybory higieniczne. Dobrze na zmarłej wyszło za to Zgromadzenie Córek Bożej Miłości, której członkinią była Anastazja Pustelnik. Taka to emancypacja po katolicku.

Siostra Anastazja była dla Kościoła kobietą idealną: przynoszącą pieniądze, ale nieskupiającą na sobie uwagi, nieprzyćmiewającą męskich gwiazd. Nawet nazwisko miała doskonałe. Pustelnik zarabiający na zakon to najlepsze, co się może Kościołowi przytrafić.

MK

Zgaga po salcesonie

Wypędzanie diabła wpędza w sądowe kłopoty

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle, a baba wyśle pozew. Księża boją się płacenia swoim ofiarom jak diabeł święconej wody. Rzadko płacą, ale jak już płacą, to sporo. Do tej pory słyszeliśmy o przypadkach pedofilskich, teraz zaś mamy do czynienia ze zjawiskiem w Polsce nowym. Trzy kobiety domagają się od instytucji kościelnych prawie 20 mln zł za to, że przeprowadzano na nich egzorcyzmy. Pozwanych jest pięć diecezji i trzy zakony. Ofiary księży reprezentuje Jarosław Głuchowski, adwokat specjalizujący się z wypędzania mamony z kleru.

Irena i Natalia (to pseudonimy dla mediów) oraz trzecia, która pozostaje zupełnie anonimowa, to ponadtrzydziestoletnie dziś kobiety, które jako młode dziewczyny poddawane były egzorcyzmom. Podejrzenia o opętanie padały na nie, bo słuchały metalu, ubierały się na czarno, fascynowały wampirami i były odludkami. A ponieważ – mimo mrocznych zainteresowań – uczęszczały też do ruchu oazowego, ich czujni koledzy i koleżanki uznali, że trzeba je poddać egzorcyzmom. Dziś „opętane" wspominają rytuały jako traumatyczne i związane z przemocą, także seksualną. Było to 15 lat temu, kiedy to Kościół był w Polsce dużo silniejszy, a hasło „satanizm" budziło grozę.

Sprawy Ireny i Natalii opisał Szymon Piegza w książce „Mieli nas za opętanych. Historie nadużyć egzorcystów". Czytamy tam m.in.: „Były bite, wiązane i kneblowane stułą. Księża w miejsca intymne wcierali im olej egzorcyzmowany. Irena twierdzi, że gdy się na nich kładli, czuła ich erekcję. Ewidentnie sprawiało im to przyjemność. – Przez wiele godzin leżałyśmy na kamiennej posadzce, gdzie dosłownie robiłyśmy pod siebie, bo nie pozwolili nam wyjść do toalety.

Byłyśmy całe zasikane, poranione. Mocno wyginali nam ręce, myślałam, że zaraz mi je połamią. Gdy zaczęłam charczeć i pluć krwią, to oni po prostu się śmiali. Traktowali nas jak jakieś małpy w zoo.

Nie protestowały. Ksiądz za każdym razem tłumaczył im, że muszą znieść wszystko, by dostąpić uwolnienia od działania demonów".

Teraz zaś, po reportażu w TVN24, historie te trafiły pod strzechy. Ci, którzy niespecjalnie śledzą sprawy kościelne, mogą się zdziwić, że to nie przypadki ze średniowiecza, ale współczesna Polska. Owszem, co jakiś czas pojawiają się anegdoty o wypędzaniu diabła salcesonem lub skarpetą JP2, ale zazwyczaj pozostają w sferze memów. Tymczasem Irena w czasie swojej przygody z egzorcyzmami poznała sławetnego ks. Michała Olszewskiego. „Byłam u niego w Stopnicy. Gdy byliśmy sami, powiedział, że widzi we mnie diabły. Ostrzegł, że przez dziesięć lat trenował taekwondo. Byłam przerażona. On jest wielki, ma prawie dwa metry wzrostu. Bałam się go" – opisuje w książce Piegzy.

W skalę problemu nie dowierzano w sejmie. Gdy w kwietniu tego roku na konferencji prasowej przy Wiejskiej zaprezentowano petycję „Stop przemocy egzorcystów", posłanka Polski 2025 Ewa Szymanowska mówiła: „Prawdę mówiąc, nie wierzyłam, że w XXI w. w Polsce faktycznie dochodzi do egzorcyzmów. Kiedy dowiedziałam się, że dotyczy to dzieci, młodzieży, osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi, to powiedziałam: nie, tak nie może być". Inicjatorem petycji był Paweł Kostowski, niegdyś mocno związany z Kościołem, dziś tropiciel i sygnalista patologii tej instytucji, którą poznał od środka. W petycji pisał: „Egzorcyści w celu bezprawnego unieruchamiania swoich penitentów stosują dedykowane, wykonane na zamówienie łóżka, klęczniki oraz fotele. Modlitwy o uwolnienie od szatana odprawia się nad dziećmi, w tym nad małoletnimi z domów dziecka prowadzonymi przez instytucje kościelne. (...) W reportażach młode kobiety opowiadają, że były wbrew swojej woli dotykane w miejscach intymnych przez egzorcystów. Egzorcyści co prawda nie przyznają się wprost do przemocy seksualnej, jednak opisują jak szatan »w ułamku sekundy« potrafi rozebrać przed nimi kobietę, dzieci pod wpływem diabła chcą z nimi kopulować oraz nastoletnie dziewczyny pod wpływem złego ducha prowokują ich seksualnie".

Inicjatywę Kostowskiego wsparła także posłanka Klaudia Jachira. – Skierowałam pisma do Ministerstwa Zdrowia, do Naczelnej Izby Lekarskiej, do Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, do Polskiego Towarzystwa Psychologicznego i Rzecznika Praw Dziecka. Zapytałam, czy te jednostki mają świadomość, że coś takiego w Polsce jest stosowane. Czy wydadzą rekomendacje stosowne osobom, które jednak mają za zadanie kierować się wiedzą medyczną? Nie chcę nikogo obrażać, ale jeżeli dorosły człowiek decyduje się na egzorcyzmy, to jest to jego wola. Natomiast, jeżeli kieruje się tam dzieci, które są bezbronne, to my, jako obywatele, mamy obowiązek je przed tym chronić – mówiła w sejmie. Bez echa.

Po tym, jak za egzorcyzmy wziął się TVN, coś się może ruszy. Ks. prof. Andrzej Kobyliński zapytany, czy go te pozwy za egzorcyzmy dziwią, odparł: „Nie, ponieważ od wielu lat ostrzegałem w Kościele katolickim w Polsce, że przyjdzie taki moment, że ofiary będą się domagać także odszkodowań finansowych. Tak że niestety spełnia się to, co było do przewidzenia przynajmniej kilkanaście lat temu". Kobyliński od lat woła na puszczy, za co nie jest lubiany wśród kolegów. Podobnie ostrzegał, że wybuchną afery pedofilskie, bo wszędzie na świecie wybuchały. Kościół, jak na instytucję z taką liczbą proroków, zadziwiająco nie umie przewidzieć swojej przyszłości. A błędy kosztują, czasem nawet miliony.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl d670026849

Kryzys mieszkaniowy w Hiszpanii



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Droga na Madryt

W Hiszpanii kryzys mieszkaniowy właśnie przestawił kalendarz polityczny. Premier Pedro Sánchez rozpisał przyspieszone wybory na 29 listopada, osiem miesięcy przed planowanym terminem. Rząd znalazł się pod presją po tym, jak parlament odrzucił jego pakiet mieszkaniowy, a temat, który politycy woleliby zamknąć w rubryce „sprawy lokalne", objął cały kraj. W sobotę demonstracje odbyły się w 50 miastach. W samym Madrycie według danych rządu protestowało 70 tys. osób.

W piątek 2 października hiszpański Kongres Deputowanych odrzucił dwa rządowe dekrety mieszkaniowe. Miały chronić przed eksmisją osoby w trudnej sytuacji, które nie mają innego lokum, i zwiększyć stabilność umów najmu. W 2024 r. 26,3 proc. mieszkańców Hiszpanii – ok. 12,8 mln osób – mieszkało w lokalach wynajmowanych lub użyczonych. Przeciw zagłosowały Partia Ludowa, skrajnie prawicowy Vox i kataloński Junts, dotąd okazjonalny partner parlamentarny rządu. Uzasadniali sprzeciw obawą, że nowe ograniczenia zmniejszą liczbę mieszkań na wynajem. Dekrety przepadły, a lokatorzy zostali bez dodatkowych zabezpieczeń.

Iskrą była sprawa 87-letniej Maricarmen Abascal wyrzuconej z mieszkania w Madrycie po żądaniu podwyżki czynszu o 230 proc. Jej eksmisja stała się twarzą kryzysu, który tysiące ludzi znały z własnego życia: czynsz rośnie szybciej niż dochody, umowy stają się pułapką, a mieszkanie z bezpiecznego miejsca zmienia się w aktywo, z którego właściciel ma wycisnąć jak najwięcej. Według Hiszpańskiej Rady Młodzieży przeciętny czynsz doszedł do 1176 euro miesięcznie, niemal tyle, ile wynosi średnia pensja młodej osoby. Po publicznym nacisku i mediacji miasta właściciel – wielki fundusz zresztą – zgodził się na powrót Maricarmen do mieszkania za dotychczasowe 500 euro czynszu.

Po demonstracjach 3 października ruch lokatorski zapowiedział kolejny etap. Jego przedstawiciele mówią o rozmowach ze związkami zawodowymi i przygotowaniach do strajku generalnego. To już język siły zbiorowej:

czynsz jest częścią walki o wynagrodzenie, czas i warunki życia. Jeśli praca nie wystarcza na dach nad głową, konfliktu mieszkaniowego nie uda się zamknąć w sporze między jednym właścicielem a jednym najemcą.

Wybory mogą przynieść Sánchezowi szerszą większość do prowadzenia polityki społecznej, ale stawka jest wysoka. Sondaże sprzyjają Partii Ludowej, która może utworzyć rząd z udziałem Vox. Mieszkania stały się jednym z tematów, od których kampania nie ucieknie. O losie lokatorskich postulatów zdecyduje też to, czy organizacje utrzymają nacisk po głosowaniu. Przegrana Sáncheza mogłaby otworzyć skrajnej prawicy drogę do hiszpańskiego rządu centralnego po raz pierwszy od końca frankizmu.

W Polsce podobny bunt wyrasta z braku bezpiecznego, przystępnego najmu i publicznej alternatywy. Na rynku prywatnym czynsz potrafi pochłaniać dużą część pensji, mieszkań komunalnych jest za mało, a część budynków wymaga pilnych remontów. W Łodzi minionej zimy cztery osoby zmarły z wychłodzenia w lokalach komunalnych. Gdy umowa się kończy albo budynek zagraża zdrowiu, wielu lokatorów nie ma dokąd się przenieść. Władz samorządowych zaś to nic nie obchodzi.

Do skali protestów w Hiszpanii polski ruch lokatorski ma jeszcze daleko. 10 i 11 października działacze z Krakowa, Torunia, Gdańska i innych miast spotkają się w Łodzi na IV Ogólnopolskim Zjeździe Lokatorskim, na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. Przywiozą doświadczenia z interwencji i sporów o mieszkania. Zjazd ma pomóc zbudować współpracę między miastami i wspólny nacisk na władze. W Hiszpanii kryzys mieszkaniowy wszedł do kampanii wyborczej. W Polsce politycy zaczną traktować go równie poważnie, gdy lokatorzy będą umieli narzucić ten temat w debacie publicznej.

DAMIAN DUSZCZENKO

Słodko-gorzki sen o potędze

Trudy upiornego sąsiedztwa



Rys. MAURIZIO DI BONA

Geniusz polityczny Donalda Trumpa nie ma sobie równych. Nie tylko sukcesy militarne, ale i gospodarcze amerykańskiego prezydenta prowadzą do rewolucji na arenie międzynarodowej. Wojna handlowa z Kanadą może na przykład zrobić dobrze Europie i Chinom. Wszystko dzięki America First.

Przez dekady stosunki handlowe Stanów Zjednoczonych i Kanady stanowiły wzór głębokiej integracji. Łańcuchy dostaw m.in. samochodów, energii, drewna i metali swobodnie przecinały granicę między krajami. Handlowy mariaż trafił psu w dupę podczas pierwszej kadencji Donalda Trumpa.

Trump 1.0

W 2018 r. Waszyngton nałożył cła na stal i aluminium, argumentując manewr zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. Ottawa nie pozostała dłużna. Kanadyjczycy wzięli na celownik produkowany w Kentucky kultowy amerykański burbon i sok pomarańczowy z Florydy. Osobna wojna wybuchła o papier toaletowy. Kanada to absolutny lider eksportu celulozy na srajtaśmę do USA. Statystyczny Amerykanin zużywa rekordowe 141 rolek rocznie, co sprawia, że Stany Zjednoczone odpowiadają za 20 proc. globalnego zużycia tego produktu. Każde zakłócenie na rynku wstęgi czystości wywołuje natychmiastową panikę konsumencką i puste półki w tamtejszych marketach. Kanadyjczycy odcięli zatem sąsiadom luksus w kiblu. Zabolało.

Gdy Biały Dom odpowiedział uderzeniem w kanadyjski sektor mleczarski, Kanada podniosła stawki w sektorze drzewnym, dzięki czemu koszty budowy amerykańskich domów poszybowały w górę.

Wymiana nieuprzejmości trwała w najlepsze, a przełom przyniósł dopiero proces renegocjacji umowy NAFTA (między Kanadą, USA i Meksykiem), która przez ćwierć wieku gwarantowała wolny handel w Ameryce Północnej. W efekcie niełatwych kompromisów NAFTA przekształciła się w USMCA. Pakt wygasił szarpaninę o cła i pokazał, że nawet najbardziej zacięte spory gospodarcze muszą ustąpić – jak to się ładnie mówi – pragmatycznemu kompromisowi. Pokój nie trwał długo.

Trump 2.0

Tuż po powrocie Donalda Trumpa do Białego Domu w 2025 r. Waszyngton przyklepał dekrety nakładające niemal powszechne cła na towary z Meksyku i Kanady. Glejt przewidywał 25 proc. cła na cały import od północnego sąsiada oraz 10-procentową daninę na surowce energetyczne. Ówczesny premier Kanady Justin Trudeau nie pieścił się w tańcu i odpowiedział gigantycznymi cłami odwetowymi o wartości blisko 30 mld dol.

Wymiana ciosów przeszła w ekonomiczną wojnę na wyczerpanie. Biały Dom pod wyssanym z okolic okrężnicy pretekstem uszczelnienia granic i walki z przemytem narkotyków kontynuował nacjonalistyczną doktrynę America First.

Na początku 2026 r. Sąd Najwyższy USA uznał, że amerykańska ustawa federalna z 1977 r., która pozwala prezydentowi na podejmowanie nadzwyczajnych kroków gospodarczych w odpowiedzi na zagrożenia bezpieczeństwa narodowego lub gospodarki (tzw. IEEPA), nie daje głowie państwa uprawnień do nakładania ceł. Administracja Trumpa w trybie pilnym sięgnęła po inne podstawy prawne: m.in. 10-procentową opłatę importową. Dla importera i klienta końcowego efekt był taki sam: towar zdrożał o 10 proc.

Z formalnoprawnego punktu widzenia Biały Dom bez konieczności czekania na zgodę Kongresu mógł prowadzić swoją vendettę. Kulminacja nastąpiła w lipcu. Trump na podstawie sekcji 338 zakurzonej ustawy celnej z 1930 r. nałożył aż 50-procentowe cła m.in. na kanadyjskie wina, sery, meble, cement, odzież, a nawet kije hokejowe. Kongres miał związane ręce. Niemal stuletni mechanizm przyznaje prezydentowi Stanów Zjednoczonych nadzwyczajne uprawnienia do jednostronnego nakładania ceł odwetowych z uwagi na domniemaną dyskryminację handlową. Według pokrętnej logiki Trumpa ofiarą tych haniebnych kanadyjskich praktyk miał paść amerykański sektor motoryzacyjny, alkoholowy i mleczarski. Lobbyści i stowarzyszenia handlowe natychmiast zaczęły naciskać na Kongres, by ten znowelizował lub całkowicie odebrał prezydentowi prawo do powoływania się na sekcję 338. Gówno ugrali. Chwilę później konflikt eskalował.

Premier Kanady Mark Carney odwinął się własnymi cłami na amerykańskie towary. Lista objęła stal, aluminium, AGD, sprzęt rolniczy, elektronikę i wiele innych kategorii. Łącznie ok. 700 produktów o wartości blisko 27,6 mld dol. kanadyjskich. Biały Dom poszedł o krok dalej. Prezydent Trump nakazał Administracji Usług Ogólnych (GSA) usunięcie wszystkich produktów pochodzenia kanadyjskiego z federalnych harmonogramów zamówień publicznych, chyba że Kanada przywróci „pełną i sprawiedliwą wzajemność" dla amerykańskich przedsiębiorstw. Srali muchy.

Transatlantycki romans

Jeszcze w sierpniu Doug Ford, premier kanadyjskiej prowincji Ontario nazwał Trumpa dyktatorem i wezwał go do pocałowania się w dupę. Wszystko wskazuje na to, że trendowi przyklaskuje i reszta kraju. Carney zaznaczył w jednym z przemówień, że owszem, odwrót od USA będzie miał swoją cenę, ale Kanada nie może akceptować żądań Waszyngtonu. Z tego tytułu postawił sobie za cel podwojenie eksportu poza USA do 2035 r. i postanowił szukać bardziej dojrzałych emocjonalnie partnerów handlowych. Padło na Chiny i Unię Europejską.

Ottawa dogadała się już z Pekinem w kwestii wpuszczenia na kanadyjski rynek blisko 50 tys. chińskich samochodów rocznie, w zamian za co do Chin płyną tamtejsze surowce energetyczne i mineralne. Kanadyjscy i europejscy urzędnicy szukają też rozwiązań, które pozwolą Kanadzie na romans z wartym 21 bln dol. jednolitym rynkiem Unii Europejskiej. Współpraca ma objąć kluczowe łańcuchy dostaw, w tym sektor energetyczny, surowce niezbędne do produkcji półprzewodników i baterii czy sztuczną inteligencję. Nowy rozdział między UE i Kanadą miałby dotyczyć także kwestii naukowych, m.in. połączenia instytucji badawczych, by stworzyć sieć osiągnięć naukowych, która będzie konkurować z amerykańskimi uniwersytetami. Szanse na powodzenie tej operacji są tym większe, że Stary Kontynent sam posmakował rozlicznych histerii i fiksacji amerykańskiego sojusznika.

W połowie września przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zapowiedziała w Strasburgu nadanie Kanadzie statusu członka stowarzyszonego. Orędziu przysłuchiwał się Mark Carney. Von der Leyen oprócz wspomnianego sojuszu technologicznego poruszyła kwestie zintegrowania baz obronnych i uczynienia z Arktyki „sztandarowego wspólnego projektu". Szczególnie że Kanada już weszła głęboko w europejskie struktury obronne – stała się pierwszym pozaeuropejskim krajem, który zyskał dostęp do programu zamówień obronnych SAFE. Szefowa KE chwaliła też obowiązującą z Kanadą umowę handlową CETA, dzięki której europejski handel towarami wzrósł o 75 proc. w ciągu dekady.

Donald Trump dostał wkurwu. Propozycję nieformalnego ożenku Unii Europejskiej z Kanadą nazwał śmieszną i zagroził Europie – a jakże – cłami i wstrzymaniem handlu. Nie strasz, nie strasz…

Gra warta świeczki

Wojna handlowa nie jest grą o sumie zerowej, obie strony tracą. Mimo to część unijnych strategów uważa, że należy wkalkulować pewien poziom ceł w koszty geopolityczne. Amerykański konsument jest ważny, ale nie jedyny. Najlepszą obroną przed protekcjonizmem USA będzie znalezienie alternatywnych rynków zbytu, najlepiej takich, które również obawiają się agresywnej polityki Waszyngtonu. Trwała, oparta na prawie międzynarodowym struktura handlowa z przyjaciółmi w dłuższej perspektywie daje unijnym firmom większą przewidywalność niż fochy lokatora Białego Domu.

Ta sama presja generuje koszty, które osłabiają pozycję Stanów Zjednoczonych i samego prezydenta Trumpa na jego własnym podwórku. Gdy ceny rosną, a regiony przemysłowe i rolnicze tracą rynki zbytu, American Dream traci koloryt.

Najbardziej oddani zwolennicy Trumpa są dziś głęboko podzieleni co do tego, jak prezydent poradził sobie na froncie bitwy z kluczowym partnerem handlowym Ameryki. Z sondażu „Politico" wynika, że zaledwie 38 proc. wyznawców ruchu MAGA uznaje podniesienie ceł dla Kanady za słuszne i jednocześnie akceptuje ryzyko przegranej w nadchodzących wyborach połówkowych. Z kolei 40 proc. uważa, że choć kierunek był dobry, to Trump popełnił błąd taktyczny i powinien był poczekać z dokręceniem śruby do zakończenia głosowania.

Dla porównania, aż trzy czwarte Kanadyjczyków popiera działania swojego rządu w tym impasie. Rząd Kanady ogłosił i wdrożył pakiet pomocy dla poszkodowanych przez cła firm i pracowników o wartości 7,5 mld dol. kanadyjskich, aby w razie potrzeby przeczekać resztę kadencji Trumpa. „Przeczekać" to słowo klucz nie tylko dla Kanady.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl d670026849

Nędza made in USA

Wyzysk i cierpienie w „ojczyźnie możliwości”



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dużo czasu minęło, od kiedy Jerzy Urban z właściwą sobie ironią zapowiedział, że rząd Polski Ludowej wyśle koce dla nowojorskich bezdomnych. Urbana już nie ma, lecz bezdomnych nie tylko w Nowym Jorku, ale w całych Stanach Zjednoczonych od tego czasu dramatycznie przybyło.

Świadczy o tym doskonale wydana właśnie książka Matthew Desmonda zatytułowana po prostu „Bieda w Ameryce”. Powinni ją przeczytać wszyscy, którzy marzą o życiu w cieniu Statui Wolności. Stanowi ona przyczynek do rozważań nie tylko o Ameryce, lecz w ogóle o kapitalizmie w dość czystej, stosunkowo mało skażonej interwencją państwa wersji.

Książka Desmonda wywołała sporo hałasu w Stanach Zjednoczonych, gdyż jest ona na wskroś amerykańska, wpisując się w tradycję zaangażowania społecznego i – nie bójmy się tego określenia – krytyki moralnej. Autor nie ukrywa, że bardzo kocha swój kraj i jego mieszkańców. Sam wywodzi się z nizin społecznych i na własnej skórze doświadczył uroków życia w USA.

Najgorsza forma przemocy

Trudno odmówić racji Mahatmie Gandhiemu, który trzeźwo zauważył, że bieda jest najgorszą formą przemocy. I do przemocy często prowadzi, co na wielu przykładach pokazuje Desmond. W USA dochodzi nawet do takiego kuriozum, że wiele osób ma się lepiej za kratkami – mając dach nad głową, jedzenie na stole, jakąś podstawową opiekę medyczną – niż wegetując uprzednio na wolności…

Życie biednych w Ameryce często jest zwierzęce i stosunkowo krótkie. Umierają oni nawet nie tyle od broni palnej, co z powodu chorób, na które medycyna od dawna zna skuteczne lekarstwa. Oddajmy głos Desmondowi: „Choroby tropikalne od dawna uważane za wyeliminowane, takie jak tęgoryjczyca, wywoływana przez tęgoryjca, pasożyta dwunastnicy, powróciły w najbiedniejszych wiejskich społecznościach Ameryki, często na skutek awarii systemów sanitarnych, które narażają dzieci na kontakt z nieoczyszczonymi ściekami”…

Prawda jest taka, pisze Desmond, że bieda to ból fizyczny: „Zakrada się do bolących kręgosłupów opiekunek osób niesamodzielnych i dyplomowanych asystentek pielęgniarskich, które pochylają się, by dźwigać starych i chorych z łóżek i toalet; tkwi w stopach i kolanach pracowników sklepów, zmuszanych do stania, gdy przyjmują nasze zamówienia i kasują nasze zakupy; kryje się w wysypkach skórnych i migrenach sprzątaczek, które czyszczą nasze biurowce, domy i pokoje hotelowe środkami zawierającymi amoniak i triklosan”.

Miliony mieszkańców amerykańskich slumsów są narażone na astmę; do ich płuc i dróg oddechowych przedostają się alergeny pleśni i karaluchów. Wielu grozi zatrucie ołowiem, powodującym u dzieci nieodwracalne uszkodzenia ich delikatnych mózgów i ośrodkowych układów nerwowych.

Wyobraźmy sobie, że jako dzieci doświadczyliśmy seksualnego napastowania, byliśmy świadkami morderstwa czy samobójstwa, czasem osoby najbliższej – i nie mamy szans na prywatną opiekę psychologiczną w późniejszym życiu. Wiadomo, że jakoś z bólem trzeba sobie poradzić. Najtaniej i najprościej zrobić to dzięki tabletkom lub narkotykom – legalnym czy nielegalnym. W „Biedzie w Ameryce” wspomniany jest przyjaciel autora Scott: wykorzystany seksualnie w dzieciństwie, uzależnił się od fentanylu i zmarł samotnie w trakcie ciągu narkotykowego. Co znamienne,

jeżeli w 1995 r. z kartek żywnościowych w USA korzystało 289 tys. gospodarstw domowych – to w 2018 r. było to już 1,2 mln! Innymi słowy, mniej więcej co 50. mieszkaniec „najbogatszego kraju w historii świata” żyje w skrajnej nędzy.

Wedle oficjalnych danych ze szkół publicznych aż 1,3 mln dzieci nie ma domu, wegetując w obskurnych hostelach, pustostanach czy w samochodach.

Bezduszny wyzysk

Paradoks polega na tym, że najkosztowniejsze w bogatym państwie jest bycie biednym. Bo system, który dla jednych jest łaskawy i życzliwie wspierający, dla drugich jest brutalny i bezwzględny. „Bieda w Ameryce” pokazuje dwa równoległe systemy ekonomiczne, których końcowym efektem jest pojawianie się i utrwalanie geograficznie segregowanych obszarów bogactwa na jednym biegunie i nędzy na drugim. Oczywiście segregacja ta nie jest bynajmniej ślepa na kolor skóry.

Warto pamiętać, że przez długi czas banki były instytucjami wyłącznie dla białych. Pozostałością tego jest, że czarnych klientów częściej podejrzewa się o oszustwo, odrzucając ich wnioski, a kiedy już otrzymają kredyt – muszą płacić wyższe odsetki.

7 mln amerykańskich gospodarstw domowych nie ma konta w banku, co wystawia je na żer punktów realizujących czeki. Najczęściej pojawiają się one w biednych czarnych dzielnicach. Punkty pobierają nawet 10 proc. wartości czeku, zmuszając ubogich do płacenia za dostęp do własnych pieniędzy.

Wiadomo, że większość osób na konkretniejsze zakupy musi zaciągnąć kredyt. Biedni mają opóźnienia w płatnościach niszczące ich zdolność kredytową. 26 mln Amerykanów nie ma żadnej historii kredytowej (to też bardzo źle), kolejne 19 mln – zbyt skąpą lub nieaktualną, aby można ją było ocenić.

Miliony Amerykanów muszą ratować się chwilówkami, choć trzeba przyznać, że w ostatnich latach 17 stanów ograniczyło lichwę. Jak jednak wyjaśnia Desmond, „w większej części kraju branża ta ma się znakomicie. Roczna rzeczywista stopa oprocentowania dla dwutygodniowej pożyczki w wysokości 300 dolarów może wynieść 664 proc. w Teksasie, 516 proc. w Wisconsin i 460 proc. w Kalifornii”.

Jeżeli – po wielu bojach – uda się w danym miejscu podnieść płacę minimalną, bardzo szybko przechodzi ona w ręce właścicieli mieszkań natychmiast podwyższających czynsze biedakom.

Co zastanawiające, miliony biednych nie korzystają z tych marnych form pomocy publicznej, jaka im się zgodnie z prawem należy. Po prostu rządzący robią wszystko, aby im to utrudnić i zagmatwać. Jeśli do potrzebujących dotrze się z rzetelną informacją i ułatwi wystąpienie o wsparcie, wtedy chętnie po nią sięgają, co zrywa z mitem, że Amerykanie wstydzą się, że są w potrzebie.

Mój ulubiony przykład z „Biedy w Ameryce” dotyczy znaczącego zwiększenia liczby korzystających z pewnej ulgi podatkowej, które udało się – pisze Desmond – „tylko dzięki wysyłce materiałów informacyjnych, zmniejszeniu ilości tekstu we wniosku i zastosowaniu bardziej czytelnego kroju pisma”.

„To nie żart” – dodaje autor – „użycie solidnego, pewnego kroju Frutiger – tego, który zdobi szwajcarskie znaki drogowe i etykiety leków na receptę – pomogło przekazać pracującym rodzinom o niskich dochodach miliony dodatkowych dolarów”.

Warto pokusić się o pewne bardziej generalne wnioski, wykraczające poza książkę Desmonda.

Kultura, głupcze!

Francuski demograf Emmanuel Todd już prawie ćwierć wieku temu w książce „Schyłek amerykańskiego imperium. Rozważania o rozkładzie systemu amerykańskiego” cierpko zauważył, że ze Stanów Zjednoczonych wywodzi się trend wrogi egalitaryzmowi. Wykształcone klasy średnie uznają się – początkowo z wahaniem i wątpliwościami, a z czasem coraz śmielej – za po prostu lepszych ludzi. Prowadzi to do oligarchizacji życia ekonomicznego, społecznego i politycznego.

W Ameryce elitaryzm ściera się z populizmem: przetrwały powszechne wybory, ale „elity polityczne z prawa i z lewa zgodnie blokują jakiekolwiek zmiany polityki gospodarczej, które doprowadziłyby do zmniejszenie nierówności społecznych. Dziwny to świat, w którym po zaciętej rywalizacji w mediach wyścig wyborczy nigdy nie prowadzi do zmiany status quo. Porozumienie w łonie elit – wyraz pewnych wspólnych stereotypów i wierzeń – uniemożliwia zmianę systemu politycznego, nawet jeśli wynik wyborów sugerowałby jego kryzys”.

Szczerze mówiąc, powyższy obrazek coraz bardziej przypomina krajobraz nad Wisłą i Odrą. PO i PiS od dwóch dekad zażarcie się zwalczają, a każda z tych partii, kiedy jest u władzy, najbardziej dba o kieszenie krewnych i znajomych, a także tych, którzy już mają pieniądze. Populistyczny PiS „dał” (przecież nie ze swoich!) 500 plus i dodatkowe emerytury, ale najbogatsi dzięki niemu zarobili miliony dzięki tzw. fundacjom rodzinnym tworzącym legalne raje podatkowe.

Oczywiście, Marks miał rację, że nie świadomość określa byt, lecz byt określa świadomość. Ale walki polityczne i społeczne siłą rzeczy muszą również mieć aspekty kulturowe i świadomościowe. Miliony biedaków w Ameryce, rokrocznie tracących własne lokum, nie winią nikogo innego, tylko siebie, zgodnie z zasadą, że „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz” – wszak „każdy jest kowalem własnego losu”. Choć oczywiście lepiej jest odziedziczyć wielką kuźnię po ojcu niż musieć samemu młot sobie wyprodukować, a czasem – z braku innej alternatywy – ukraść…

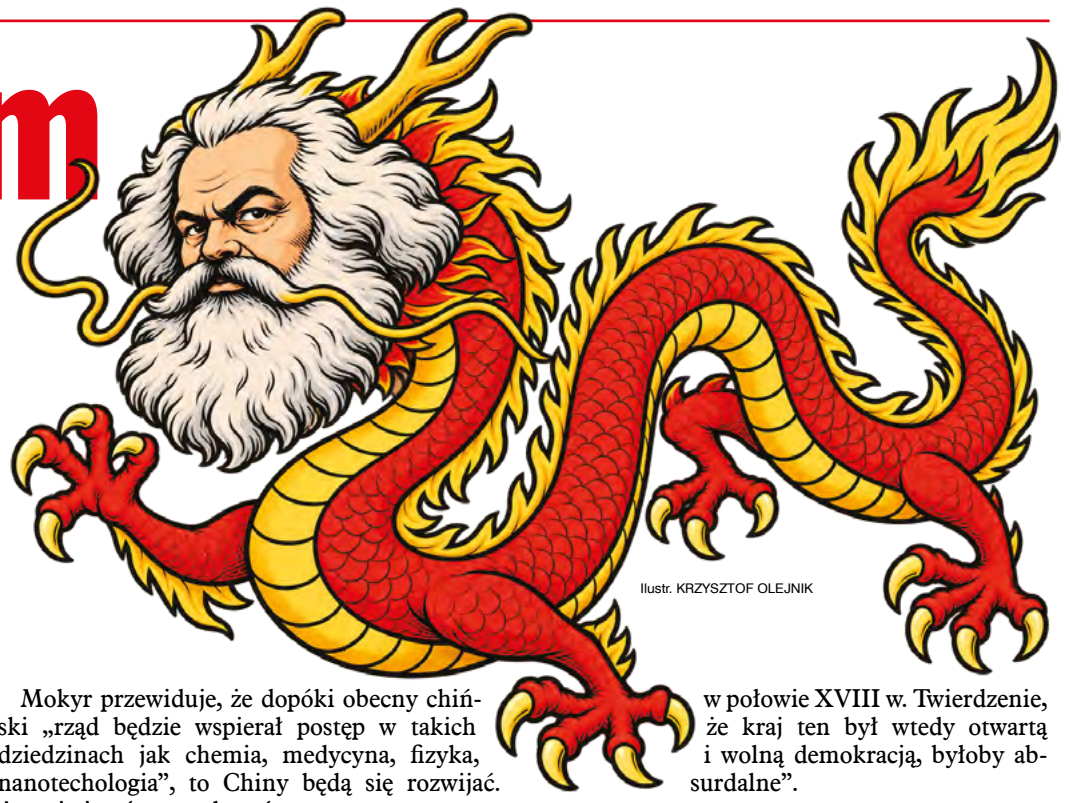
Niezwykle ważne są obrazy w naszych głowach, a Ameryka, ojczyzna masowej kinematografii, telewizji i mediów społecznościowych, dowodzi tego ponad wszelką wątpliwość. Wiele z tego, co uznajemy za oczywiste oczywistości, budzi daleko idące wątpliwości i jest efektem ludzkich wyborów, a nie boskim wyrokiem.

Niech za podsumowanie posłużą słowa pisarza Johna Maxwella Coetzeego, który w „Zapiskach ze złego roku” zauważa przytomnie: „Twierdzenie, że świat musi być podzielony na konkurujące ze sobą jednostki gospodarcze, bo taka już jego natura, jest mocno naciągane. Konkurencyjne gospodarki wzięły się stąd, że postanowiliśmy nadać swojemu światu właśnie taki kształt. Konkurencja stanowi wysublimowaną namiastkę wojny. Wojna wcale nie jest nieunikniona. Jeśli chcemy wojny, możemy wybrać wojnę, ale jeżeli pragniemy pokoju, równie dobrze możemy wybrać pokój. Jeśli chcemy rywalizacji, możemy wybrać rywalizację; zamiast tego możemy też jednak pójść drogą przyjacielskiego współdziałania”.

KATARZYNA KOENIG

MarXizm

Żółta przyszłość



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kevin Rudd, były premier Australii, teraz nietuzinkowy politolog, zauważył na portalu Substack, że przewodniczący Xi Jinping twórczo wzbogacił tradycyjny europejski marksizm.

Warto wyjaśnić, że Rudd napisał tak nie z powodów transakcyjnych, choć był też australijskim dyplomatą w Chinach. Był i jest wieloletnim działaczem lewicowej Australijskiej Partii Pracy. Znawcą marksizmu. Zna też chińską politykę i kulturę.

Trzeba przypomnieć, upraszczając nieco, że w klasycznym marksizmie jedną z podstawowych sił wytwórczych – zwanych też siłami produkcji – są środki pracy. Czyli narzędzia, maszyny, fabryki, infrastruktura oraz ziemia, na której człowiek swą działalnością oddziałuje na przyrodę.

Drugimi składowymi są przedmioty pracy, czyli surowce i materiały, które podlegają przetwarzaniu w procesie produkcji.

Trzeci element to czynnik ludzki, często jeden z najważniejszych. Czyli kompetentni pracownicy wykorzystujący środki i przedmioty pracy.

Teraz przewodniczący Xi do tego klasycznego marksistowskiego kanonu twórczo dołączył nową siłę. Sztuczną inteligencję. O tym pisze Kevin Rudd. Przypomina, że podobnie za czasów Karola Marksa wprowadzone mechaniczne krosna i nowoczesne stalownie dały podwaliny pod masową produkcję przemysłową. Stymulowały rewolucję naukowo-techniczną.

Teraz przełomem w cywilizacji przemysłowej staje się sztuczna inteligencja. Nowa jakość wytwórcza i intelektualna. Chiny są dziś nie tylko w awangardzie tworzenia i wykorzystywania AI, ale także w definiowaniu roli i przyszłości sztucznej inteligencji. Zatem warto studiować te chińskie teoretyczne rozważania. I nie tylko.

Profesor Joel Mokyr, amerykański historyk gospodarki, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii w 2025 r., przypomniał w obszernym wywiadzie dla magazynu „Dziennik. Gazeta Prawna”, że

Chiny były już w swej historii pierwszą gospodarką w świecie i światowym liderem technologii. Zdegradowały się w XIX w., kiedy cesarstwo Qing przestało być zainteresowane nowym technologiami.

Mokyr przewiduje, że dopóki obecny chiński „rząd będzie wspierał postęp w takich dziedzinach jak chemia, medycyna, fizyka, nanotechologia”, to Chiny będą się rozwijać. A może i znów przodować.

Na tradycyjnie zadawane w starej Europie pytanie, czy „wolność nie jest warunkiem rozwoju”, Mokyr przekornie i prawdziwie odpowiada: „Jestem wielkim zwolennikiem liberalnej demokracji. Mimo to dowody na to, że nie można osiągnąć trwałego postępu w warunkach autokracji, nie są szczególnie przekonywujące. Rewolucja przemysłowa w Wielkiej Brytanii rozpoczęła się w połowie XVIII w. Twierdzenie, że kraj ten był wtedy otwartą i wolną demokracją, byłoby absurdalne”.

Pewnie dlatego brytyjski politolog Mark Leonard, szef Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych, autor popularnej w Polsce książki „Zrozumieć Chiny”, niedawno zauważył, że „przyszłość nas wszystkich będzie nosić chińskie cechy i znamiona”.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl d670026849

Dał nam przykład Mamdani



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Towarzysz Algorytm źle policzył

W gospodarce cyfrowej wydarzył się cud. Okazało się, że państwo może skontrolować wielką platformę technologiczną, zajrzeć do jej danych, sprawdzić, ile naprawdę pracowali ludzie, policzyć należne im pieniądze, a potem kazać korporacji zapłacić. Serwery nie eksplodowały, kapitalizm nie upadł, aplikacja nadal działa.

Platforma mówi: sorry, pomyłka

Pod koniec września władze Nowego Jorku ogłosiły ugodę z DoorDash dotyczącą systematycznych naruszeń miejskich przepisów chroniących dostawców jedzenia. Rachunek wyniósł 131,5 mln dolarów, z czego 115 mln ma trafić do 260 tys. kurierów, a ponad 16 mln stanowią kary i koszty na rzecz miasta. Według władz Nowego Jorku część pracowników dostała zbyt niskie wynagrodzenie, część dostawała pieniądze za późno, a niektórzy za wykonaną pracę nie dostawali ich w ogóle. To największa ugoda pracownicza w historii Nowego Jorku i największa amerykańska ugoda samorządowa dotycząca dostawców jedzenia. Wypłaty dla poszkodowanych mają ruszyć w październiku.

Firma przyznała się do błędów, podpisała ugodę, ale podkreśla, że nie oszukiwała dostawców celowo. Ciekawe. Wyobraźmy sobie sprzedawcę w sklepie, który jest sympatyczny i nowoczesny, ale nie umie liczyć. Klient robi zakupy za 83 zł, daje w kasie stówę, a sprzedawca wydaje 12 zł reszty. Kiedy klient zwraca uwagę, sklepikarz przeprasza: zwykła pomyłka, przecież każdemu się zdarza. Jasne, każdemu się zdarza pomylić. Gdyby sprzedawca naprawdę był tylko kiepski z matematyki, czasem pomyliłby się na swoją korzyść, a czasem na korzyść klienta. Jeżeli jednak przez trzy lata myli się tysiące razy i za każdym razem przypadkiem wydaje za mało, to wiemy, że gość tak naprawdę umie liczyć.

W USA okazało się, że aplikacja wyposażona w algorytmy, GPS i system potrafiący w kilka sekund skojarzyć człowieka siedzącego na kanapie z restauracją oraz rowerzystą stojącym cztery przecznice dalej nie poradziła sobie z prawidłowym wyliczeniem czasu pracy oraz zleceniem przelewu właściwej kwoty na czas. Teraz zadajmy sobie pytanie: jakim cudem w Stanach udało się nakazać tech-gigantowi zapłacić pracownikom zaległe wynagrodzenia i uczciwie się rozliczać? Odpowiedź jest prosta. Najpierw należy uchwalić mądre prawo. A potem urzędnik może skorzystać z algorytmów i komputera.

DoorDash powstał w Kalifornii w 2013 r. i przedstawia model gospodarki platformowej w niemal laboratoryjnej postaci. Klient chce pad thaia, restauracja ma pad thaia, kurier może pad thaia przewieźć, a pomiędzy nimi pojawia się sympatyczna aplikacja, która jedynie pomaga wszystkim się odnaleźć.

Platforma ustala zasady dostępu do zleceń, zbiera dane, przydziela dostawy, mierzy czas, wylicza wynagrodzenie i może wpływać na to, kto dostanie następny kurs. Jednocześnie dostawcy są formalnie klasyfikowani jako niezależni kontraktorzy i dlatego nie korzystają z wielu praw pracowniczych.

DoorDash w 2022 r. kupił Wolta, jedną z najpopularniejszych platform dostawczych działających w Polsce.

Komunista przychodzi po kasę

Burmistrzem Nowego Jorku jest od stycznia Zohran Mamdani, demokratyczny socjalista, urodzony w Ugandzie syn rodziny indyjskiego pochodzenia, muzułmanin i imigrant, czyli polityk jakby skonstruowany w tajnym laboratorium po to, żeby wkurwiać prawicowca.

Donald Trump nazwał go podczas kampanii „stuprocentowym komunistycznym szaleńcem", republikańska kongresmenka Nicole Malliotakis oznajmiła, że jej matka nie uciekła z komunistycznej Kuby po to, żeby żyć w komunistycznym Nowym Jorku.

Echo dotarło nawet do Polski. „Tygodnik Solidarność", organ wywodzący się z ruchu związkowego, po wyborach opisywał Mamdaniego jako muzułmańskiego, propalestyńskiego i antyizraelskiego lewicowca, a jego zwycięstwo jako coś „zadziwiającego, nawet absurdalnego"; w innym materiale chętnie relacjonował ostrzeżenia Trumpa, że ludzie będą z Nowego Jorku uciekać przed komunizmem. Na razie nie uciekają.

Warto zaznaczyć, że Nowy Jork zaczął budować ochronę dostawców jeszcze za burmistrza Billa de Blasio. Wykorzystano sprytnie amerykańskie przepisy, które pozwalają władzom miejskim ustanawiać warunki wykonywania pracy i usług na terenie miasta. Uznano, że dostawa jedzenia oraz standard pracy dostawcy mają znaczenie dla zdrowia i bezpieczeństwa mieszkańców miasta: nie chcemy przecież, by naszym jedzeniem zajmowała się osoba, która sama jest głodna lub chora.

Rada miasta uchwalała od 2021 r. kolejne lokalne ustawy, w których zdefiniowała kategorię pracowników: „dostawców jedzenia pracujących za pośrednictwem aplikacji" i objęła ich specjalną ochroną.

Urzędnicy nie ustalili sobie, ot tak, minimalnej płacy. Prawo nakazało najpierw miejskiemu Departamentowi Ochrony Konsumentów i Pracowników (DCWP) zbadać gospodarkę platformową. Urząd miał ustalić m.in. obecne zarobki kurierów, sposób ich obliczania, koszty ponoszone przez kurierów, godziny pracy, przebieg dostaw, wymagany sprzęt i warunki bezpieczeństwa. Dopiero wtedy wprowadził minimalne wynagrodzenie, które jest corocznie waloryzowane. Od kwietnia 2026 r. wynosi 22,13 dolara za godzinę – i nie wlicza się w to napiwków.

Ważniejsze od samej stawki jest jednak to, co Nowy Jork uznał za pracę. Aplikacja w cudowny sposób nie zmieniła fizycznego sposobu dostawy pizzy. Dostawca w ciągu dnia spędza godziny na oczekiwaniu na zlecenie, dojeździe do restauracji, czekaniu na wydanie jedzenia. Czasem zdarzają się zlecenia anulowane, czasem zleceń nie ma, ale dostawca siedzi na rowerze, czekając na pracę. To wszystko jest i zawsze było częścią normalnego dnia pracy dostawcy. Natomiast dla korporacyjnego algorytmu był to czas wolny, w którym dostawca co prawda musi być zalogowany do aplikacji i pozostawać w gotowości, ale jako niezależny przedsiębiorca może po prostu cieszyć się życiem.

Nowojorska regulacja uwzględnia rzeczywistość i obejmuje również czas pozostawania w gotowości do pracy na rzecz platformy, w tym czas dojazdu do restauracji i oczekiwania na zlecenia. Platforma ma do wyboru kilka metod rozliczania czasu pracy dostawców, ale ostatecznie musi spełnić ustawowy standard minimalnego wynagrodzenia. Równolegle Nowy Jork uchwalił przepisy dotyczące samej wypłaty pieniędzy, które zabroniły aplikacjom obciążania kurierów dodatkowymi kosztami i ustanowiły obowiązek wypłaty co najmniej raz w tygodniu. Jednym słowem, miasto zakazało platformie dymania pracowników na obliczaniu czasu pracy i na samej wypłacie. A potem ktoś postanowił tego prawa użyć.

Gdy przepisy już istniały, administracja Mamdaniego mogła dopisać własny rozdział, ponieważ posiadanie i egzekwowanie przepisów prawa pracy to dwie różne rzeczy, o czym mieszkańcy Polski dobrze wiedzą.

DCWP przeprowadził dochodzenie, przeanalizował dane DoorDash i ustalił, którym ludziom należą się pieniądze. Kurierzy objęci ugodą nie muszą teraz indywidualnie wynajmować prawników, rekonstruować swoich kursów sprzed trzech lat i procesować się z amerykańską korporacją. Urząd wytypował osoby uprawnione na podstawie dokumentacji samego DoorDash, a administrator ugody ma się z nimi skontaktować i wypłacić należności.

Tak wygląda ta szczególnie niebezpieczna odmiana komunizmu, przed którą ostrzegano wyborców i czytelników „Tygodnika Solidarność". Komunista Mamdani nie znacjonalizował DoorDash, nie uspołecznił rowerów. Sprawdził, czy korporacja przestrzega obowiązującego prawa.

DoorDash przyznał, że popełnił błędy, zgodził się zapłacić, a następnego dnia nie zamknął działalności i nie wyłączył aplikacji. Firma nadal istnieje i nadal chce zarabiać na dostawach jedzenia, tylko będzie musiała uczciwie liczyć pracownikom pieniądze.

Dymanie pracownika standardem rynkowym

Polski rynek zamawiania jedzenia przez telefon wygląda na pierwszy rzut oka bardzo konkurencyjnie, ponieważ na telefonie można mieć Pyszne.pl, Wolt, Glovo, Uber Eats i Bolt Food. Ikon jest dużo, po zajrzeniu do struktur właścicielskich robi się nieco ciaśniej.

Wolt należy do DoorDash. Pyszne.pl jest częścią Just Eat Takeaway, kontrolowanego przez technologiczny holding Prosus związany z południowoafrykańskim Naspers. Uber Eats jest częścią giełdowego Uber Technologies, którego akcjonariat jest rozproszony, a duże pakiety znajdują się między innymi w portfelach zarządzanych przez Vanguard i BlackRock. Glovo należy do Delivery Hero, wokół którego trwa obecnie proces przejęcia przez Ubera. Bolt pozostaje prywatną spółką wspieraną przez wielu inwestorów, przy istotnej roli pochodzącego z Estonii założyciela firmy Markusa Villiga.

Na tym tle szczególnie ciekawie wygląda Pyszne.pl, które przez lata wyróżniało się na polskim rynku sposobem wynagradzania kurierów. Firma sama przypomina dzisiaj, że jako jedyna duża platforma w Polsce rozliczała ich za czas gotowości do wykonywania zleceń na poziomie minimalnej stawki godzinowej, mimo że prawo jej do tego nie zmuszało. Pyszne.pl twierdzi przy tym, że przez taki model koszt jego dostawy był niemal trzykrotnie wyższy niż u konkurencji.

W lipcu 2026 r. firma ogłosiła zmianę modelu i przejście z własnej floty na współpracę z zewnętrznymi partnerami flotowymi, co w praktyce oznacza, że chce robić to samo co konkurencja (pisaliśmy o tym w numerze 30/2026).

OPZZ Konfederacja Pracy informowała o około 5 tys. kurierów, których dotychczasowa forma współpracy miała się zakończyć, oraz o propozycji przejścia do „partnerów flotowych". Według związku oznacza to odejście od gwarantowanej stawki godzinowej na rzecz wynagradzania za wykonane dostawy i może przenieść na kuriera większą część ryzyka związanego z brakiem zamówień.

Pyszne.pl odpowiada, że zmiana jest legalną decyzją biznesową, że model partnerów flotowych jest standardem branżowym oraz że kurierzy cenią elastyczność. Pyszne.pl nie robi tego, za co ukarano DoorDash w Nowym Jorku. Nowojorska sprawa dotyczyła naruszania konkretnych przepisów płacowych, natomiast polski spór dotyczy na razie tego, czy w ogóle kurierzy działający w ramach platform powinni korzystać z pełnej ochrony prawa pracy.

PIP rozpoczęła kontrolę i zapowiedziała, że samo zakończenie dotychczasowych kontraktów nie zamknie kwestii ustalenia, czy praca dostawców nie powinna być traktowana jako etat.

Państwo też może mieć dostęp do danych

Nowy Jork pokazał coś ważniejszego niż wysokość minimalnej stawki. W gospodarce algorytmicznej regulator nie może kontrolować przedsiębiorstwa metodami z czasów segregatora i pieczątek. Skoro pracodawca czy platforma organizuje pracę za pomocą terabajtów danych, państwo musi nauczyć się kontrolować dane.

Nowojorskie aplikacje dostawcze mają obowiązki raportowania informacji do DCWP, a urząd wykorzystuje te dane do monitorowania przestrzegania minimalnej stawki. W przypadku DoorDash poszedł znacznie dalej, rekonstruując na podstawie danych firmy ogromną liczbę rozliczeń i samodzielnie identyfikując poszkodowanych.

Nie kazano więc pojedynczemu imigrantowi na rowerze udowadniać przed sądem, że trzy lata wcześniej aplikacja oszukała go na sto dolków. Państwo wzięło od korporacji dane, a następnie samo wykonało obliczenia.

W Polsce podobny egzamin dopiero trwa. Państwowa Inspekcja Pracy interesuje się modelem współpracy Pyszne.pl z kurierami, a równocześnie rząd pracuje nad wdrożeniem unijnych regulacji dotyczących pracy platformowej. Samo Pyszne.pl domaga się, słusznie zresztą, jasnych zasad obejmujących całą branżę.

Polski spór o dostawców jedzenia jest wart obserwowania bardziej niż konferencje o sztucznej inteligencji i cyfrowej transformacji sponsorowane przez ZondaCrypto. Nowoczesne państwo powinno umieć zajrzeć do algorytmu korporacji i powiedzieć właścicielowi, że w gospodarce cyfrowej dalej obowiązuje prawo.

LEON ORŁOWSKI

eprasa.pl d670026849

Megalomania

Korzenie Sportka

Na łamach „NIE” wcale nie zaczynałem od pisania tekstów o tematyce sportowej, choć dziennikarstwo sportowe to mój pierwszy zawód, który uprawiałem przez cały okres komuny. Mieszkaliśmy wówczas z żoną Swietłaną w Sankt Petersburgu. Piękne miasto, szczęśliwe lata. Żona była kierowniczką antykwariatu oraz zaczynała rozwijać swój biznes; pomagałem jej trochę i pisywałem korespondencje z Rosji do polskiej prasy, głównie lewicowej.

Moje teksty pojawiły się także w „NIE”. Opisywałem wrażenia z tego wielkiego kraju, również z wycieczek do różnych miast. Pamiętam reportaż z targów dewocjonaliów w Moskwie, na które zabrała mnie Swietłana. Ona była tam służbowo, ja szwendałem się między rozmaitymi stoiskami.

Chrzest w przerębli

W religii prawosławnej szczególne miejsce zajmują ikony. Podczas targów poszczególne cerkwie otworzyły stoiska, na których można było – ma się rozumieć za odpowiednią opłatą – zapalić świeczkę i ucałować święty obraz. Poszczególne ikony miały pomagać na konkretne choroby. Ponieważ między wizytami pacjentów nie dezynfekowano ikon, nie przecierano choćby nawet szmatką, w mojej relacji zauważyłem, że prędzej wierny zarazi się owsikami, niż wyleczy się z bólu kręgosłupa czy z kamieni nerkowych.

19 stycznia prawosławni obchodzą dzień Chrztu Pańskiego. To także był wdzięczny temat do reportaży. Opisywałem kolejki przed cerkwiami. Ludzie z przeróżnymi naczyniami, nawet z potężnymi kanistrami, zaopatrywali się w święconą wodę na cały rok. W pamięci utkwiła mi krótka wymiana zdań z popem z cerkwi znajdującej się tuż obok naszego mieszkania. „Czy ta święcona woda naprawdę pomaga?” – zapytałem. „Gdyby nie pomagała, ludzie nie staliby w kolejce” – usłyszałem w odpowiedzi. Myślę, że taki argument musi obalić wszelkie wątpliwości.

Pamiętam korespondencję do nieistniejącej już „Trybuny” (tej bez „Ludu”). Nie mogłem sobie oczywiście darować opisu zwyczaju zanurzania się wiernych w przerębli, bo tak się złożyło, że ten nieszczęsny Chrzest Pański przypada w najzimniejszym w Rosji miesiącu. Ma coś wspólnego z popularnym u nas morsowaniem. „Komsomolska Prawda” opublikowała spis przedmiotów wyłowionych przez płetwonurków z dna Newy, gdy lody już puściły. Dałoby się zapełnić niejeden regał w supermarkecie. Nie mogłem sobie darować powielenia tego spisu. I tak dalej, i tak dalej…

Rzadko pisałem o polityce. Szkoda, bo w tym czasie prezydent Władimir Władimirowicz Putin zaczynał umacniać swoją władzę i wykonywał posunięcia, które później wprowadzał Jarosław Kaczyński w naszym kraju. Zaczął od zagarnięcia Sądu Konstytucyjnego (odpowiednik naszego Trybunału Konstytucyjnego), nawet przeniósł jego siedzibę z Moskwy do Sankt Petersburga, bo w początkach rządzenia w rodzinnym mieście czuł się najpewniejszy. Zresztą do dziś najbliżsi współpracownicy prezydenta Rosji wywodzą się z miasta nad Newą.

W putinowskiej Rosji zaczęły się ataki na wolne media, na osoby LGBT, przemówienia o wielkiej, suwerennej Rosji, delikatne próby rehabilitowania Stalina, który pojawił się nawet na ikonie w którejś cerkwi. Szczególny nacisk kładziono na wartości rodzinne i na oświatę w duchu chrześcijańskim. Wszystko to widziałem, ale mało o tym pisałem. Pochłonięty byłem zwiedzaniem zabytków i muzeów, poznawaniem obyczajów, wchłanianiem atmosferę ulicy.

„Agentka” Putina

Prowadziliśmy z żoną życie towarzyskie, jak każde normalne małżeństwo. Mieliśmy może niezbyt liczną, ale zgraną paczkę znajomych. Byli to inteligentni, wykształceni i charakteryzujący się fajnym poczuciem humoru ludzie.

Wyprzedzając fakty: z nikim nie utrzymujemy już kontaktów. Po pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę znaleźliśmy się po przeciwnych stronach frontu. Nie zapomnę rozmowy z Wowką, najlepszym moim rosyjskim kumplem. Gadaliśmy przez telefon. Ja już na stałe mieszkałem w Polsce. Próbował mi tłumaczyć, że Rosja musiała wkroczyć na Ukrainę w obronie własnej, bo gdyby nie wkroczyła – Ukraina by ich zaatakowała. Gdyby Kain nie zabił Abla, to Abel zabiłby Kaina. „Wowka, zlituj się, co ty wygadujesz? Popatrz na mapę. Jaka jest Rosja, a jaka Ukraina? Jak i po co mieliby was atakować?”. „To ty nie znasz Chachłów” – odpowiedział Wowka. Chachły – to pogardliwe rosyjskie określenie Ukraińców, nawiązujące do tradycyjnej kozackiej fryzury. To była nasza ostatnia rozmowa. I tak bym Wowki nie przekonał. A wydawało mi się wcześniej, że to myślący człowiek, Europejczyk, który zobaczył kawałek świata.

Każdego dnia Swietłana wiele godzin spędzała w archiwach, a Rosja miała to szczęście, że państwowe archiwa zarówno w Moskwie, jak i Sankt Petersburgu (Leningradzie) przetrwały wojnę nienaruszone. Pewnego razu żona wróciła do mieszkania wyraźnie poruszona. Szukając innych dokumentów, przypadkowo natknęła się na prośby polskich fotografów o zgodę Gabinetu Jego Imperatorskiej Mości na wykonywanie zdjęć w carskich rezydencjach w Białowieży i w Spale. „Skoro są prośby o zgodę na wykonywanie zdjęć – tłumaczyła – powinny być gdzieś te fotografie”. Istotnie. Natrafiła na nieruszane od stulecia teczki, a w nich bogate zbiory dokumentujące nieistniejące już carskie myśliwskie pałace.

W ten sposób zaczęły powstawać wydane później w Polsce albumy o zniszczonych podczas II wojny światowej carskich obiektach na ziemiach polskich. To przecież kawał historii, także naszej. Jakimś prawicowym oszołomom przyszło później do głowy, że książki te stanowią dowód, iż moja żona ma kontakty z putinowskimi służbami. Ja jej radziłem, żeby machnęła na to ręką, jak oboje machnęliśmy ręką na przyjaźń z Wowką, bo ludzi, którym coś wbito do głowy, żadnymi argumentami przekonać się nie da, ale ponieważ stosowne publikacje pojawiły się i w wiadomej telewizji, i w wiadomej prasie, Swietłana zamierza wystąpić na drogę sądową.

Sport dla ludu

Bliżej z Jerzym Urbanem poznaliśmy się, a nawet przeszliśmy na ty – co bardzo mi zaimponowało – za sprawą jego żony Małgosi Daniszewskiej. Z Małgosią kumplowałem się, aż strach to zdradzić, od 1969 r. W rok po buncie studentów partyjne władze postanowiły wpłynąć na morale żaków, wzmacniając sojusz akademików z klasą pracującą fizycznie, i dlatego wprowadzono obowiązkowe miesięczne praktyki robotnicze. Z Małgosią wylądowaliśmy w Działdowie, gdzie przydzielono nas do budowy bocznicy kolejowej. Jeśli chodzi o sojusze, to mogliśmy się zaprzyjaźnić ze skazańcami, których na mocy amnestii właśnie wypuszczono na wolność i skierowano na tę samą bocznicę kolejową w Działdowie co nas. Było wesoło i sympatycznie. Nauczyli nas takich słów jak „cwel”, „klawisz”, „białko”, a także porozumiewania się za pomocą gestów grypsery. Młode mózgi chętnie chłoną wiedzę.

Właśnie za sprawą Małgosi zapraszany byłem od czasu do czasu na smakowite obiadki i huczne imprezy do słynnej willi Urbanów w Konstancinie. Przy zastawionym stole oraz po posiłku, w wygodnych fotelach, wypada o czymś rozmawiać. Kiedyś Małgosia, widząc, że rozmowa przygasa, zaczęła mówić o sporcie (sama miała w życiorysie epizod pracy w nieistniejącym już tygodniku „Sportowiec”). Jerzy Urban brzydził się sportem jak diabeł święconą wodą. Po prostu go nienawidził i nigdy nie odgadłem dlaczego, na pewno nie przez jakieś kompleksy, bo Urban żadnych kompleksów nie miał.

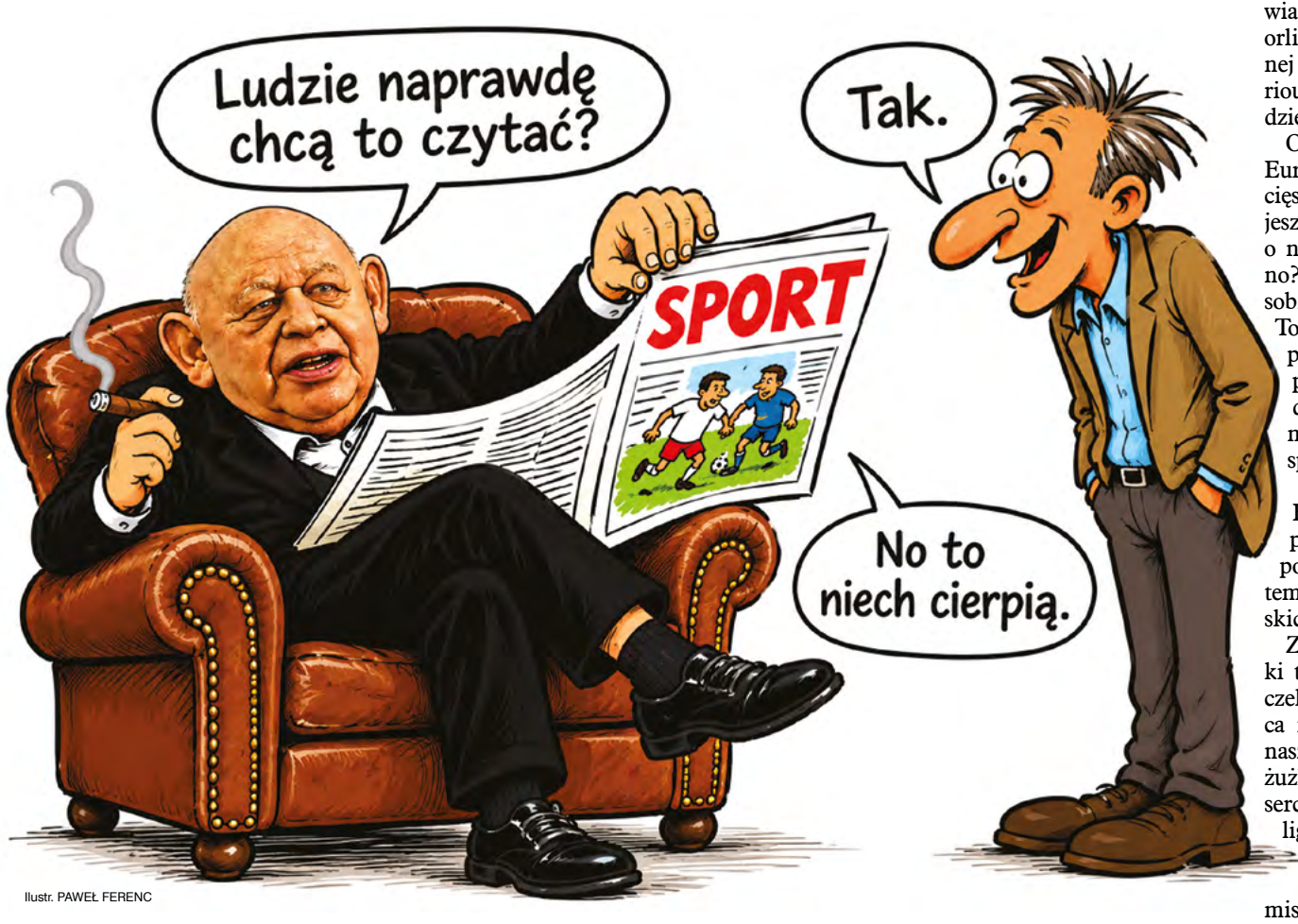
Zdarzało mi się kierować różnymi redakcjami. Naczelna zasada, jakiej zawsze przestrzegałem, nakazywała robienie gazety dla Czytelników, a nie dla siebie. Dla siebie mógłbym wydawać ją w jednym egzemplarzu.

Każda gazeta, niezależnie czy prawicowa, czy lewicowa, ma rubrykę sportową. A przecież ich naczelni nie muszą sportu lubić. Po prostu Czytelnicy się tym interesują i trzeba ich oczekiwania zaspokajać.

Za komuny sport napędzał poczytność prasy. Wszystko, co znajdowało się w środku, było ciężkostrawne, ale działy sportowe pozwalały drukować nakłady nieosiągalne dla dzisiejszych wydawców.

Wiem coś o tym, bo kilkanaście lat pracowałem w dziale sportowym „Trybuny Ludu”. Nie chcę czegoś przekręcić, ale wydaje mi się, że nakład weekendowego wydanie osiągał coś ok. 1 mln egzemplarzy. A może tylko nam tak mydlono oczy? Cholera wie. Teraz już niczego nie jestem pewny.

Jerzy Urban po moich słowach zaciągnął się Gauloisem, pomyślał chwilę i powiedział: „To napisz na próbę coś o sporcie”. Wyprodukowałem jakiś kawałek. Nie pamiętam już o czym ani czy był udany. Pamiętam tylko, że był bardzo krótki. Odzew czytelników okazał się bardzo pozytywny. Uzgodniliśmy więc, że od czasu do czasu napiszę jakiś tekścik, byle nie o aktualnych wydarzeniach, bo nie będziemy się ścigać z telewizją i dziennikami. Z czasem przerodziło się to w stałą rubrykę i „Sportek” dostał swoje stałe miejsce na przedostatniej stronie tygodnika. Od ilu lat piszę te „Sportki”? Daję słowo, nie pamiętam, musiało ich jednak być już dużo. Tytuł rubryki wymyśliła Małgosia z połączenia słów „Sport” i „Wojtek” – w ogóle Małgosia miała talent do wymyślania tytułów.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

A co tam, panie, w sporcie?

Po przeczytaniu tych słów ktoś zawoła: cóż za megalomania! Polscy piłkarze wygrywają z Rumunią 6:0, Robert Lewandowski strzela hat tricka, a ten w rubryce sportowej pisze o sobie! Oczywiście cieszę się z imponującego zwycięstwa i z hat tricka naszego kapitana, a także momentami całkiem niezłej gry całej jedenastki, ale w huraoptymizm popadać nie będę. Przecież ledwie kilka dni wcześniej wieszano psy na piłkarskiej reprezentacji, a dla trenera Jana Urbana domagano się dymisji.

No dobrze. Zwalniają Urbana i co? Kto przyjdzie na jego miejsce? José Mourinho? Pep Guardiola? Jürgen Klopp? Każdy z tych wielkich trenerów będzie miał do dyspozycji tych samych piłkarzy, których ma Jan Urban.

Oczywiście uszczęśliwiła mnie wicemistrzostwem świata w kolarstwie Kasia Niewiadoma, ale wielbicielem jej talentu jestem od dawna. Nieraz pisałem o dziwnym fenomenie naszego kolarstwa, w którym po sukcesy sięgają zawodniczki, a zawodnikom do nich daleko. Mistrzostwa świata w Montrealu przyniosły coś jeszcze. 18-letnia Maria Okrucińska zdobyła złoty medal w jeździe indywidualnej na czas juniorek. To pierwsze złoto mistrzostw świata od czasów zwycięstwa Michała Kwiatkowskiego w 2014 r. Michał Kwiatkowski startuje do dziś i wciąż jest najlepszy z Polaków.

Na szczęście i w męskim kolarstwie błysnął promyk nadziei. W mistrzostwach Europy w Lublanie Jan Jackowiak zdobył srebrny medal w kategorii orlików (U23). Jackowiak trenuje w silnej grupie zawodowej Bahrain Victorious, może Michał Kwiatkowski znajdzie więc dobrego następcę?

Oczywiście śledziłem mistrzostwa Europy w siatkówce i imponującą, zwycięską grę naszej drużyny. Ale czy da się jeszcze coś więcej dobrego powiedzieć o naszych siatkarzach, niż powiedziano? Mistrzowie Europy zapewnili już sobie udział w igrzyskach olimpijskich. To naprawdę prawdziwa przyjemność patrzeć, jak trener Nikola Grbić przebudowuje drużynę, wprowadza do niej nowych graczy, ani przez moment nie obniżając jej poziomu sportowego w ważnych imprezach.

Czwarte miejsce w mistrzostwach Europy naszych siatkarek niektórzy przyjęli jako porażkę. No to przypomnijmy sobie, że jeszcze trzy lata temu ten zespół zaliczał się do europejskich średniaków.

Zakończył się sezon żużlowy. Ja i setki tysięcy polskich fanów tego sportu czekać będziemy do przełomu marca i kwietnia na kolejny. Oczywiście nasza Ekstraliga wciąż jest najlepszą żużlową liga świata, bo też – z ręką na sercu – poza Polską, Anglią i Szwecją liga nigdzie nie jest bardzo popularna. O tym, jak wielkim asem jest sześciokrotny indywidualny mistrz świata Bartosz Zmarzlik, najlepiej świadczy fakt, że wicemistrzostwo, po jakie sięgnął w tym sezonie, przyjęte zostało jako delikatne rozczarowanie.

A tak na marginesie. Choć nasza Ekstraliga wciąż ma się dobrze, pojawiają się na niej pewne rysy. Być może podczas czekającej nas przerwy, gdy zawodnicy pojadą na długie urlopy, a działacze głowić się będą, skąd brać kasę na kolejny sezon, przyjdzie nam bliżej spojrzeć na najlepszą ligę świata.

Tak, śledzę, co się dzieje w naszym sporcie, cieszę jego sukcesami i smucę porażkami. Na zawody już nie chodzę, w ogóle prawie nie chodzę, wiek daje znać o sobie. Dopóki jednak zdrowie pozwoli – dopóty dzielić się będę moimi refleksjami ze sportowych aren.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 7.10.2026 r.

„NIE” w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl d670026849

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Polska w 26 obrazach*

1. Prezydent Nawrocki obraża premiera Tuska.
2. Nawrocki obraża się na Tuska za to, że premier pokpiwa z prezydenta.
3. Nawrocki obraża inteligencję Polaków.
4. Nawrocki obraża wicepremiera Sikorskiego.
5. Sikorski obraża Nawrockiego.
6. Nawrocki obraża ministra Domańskiego.
7. Prezes Święczkowski obraża praworządność.
8. Święczkowski pospołu z Nawrockim obrażają sędziów Trybunału Konstytucyjnego: Berka, Dziurdę, Korwin-Piotrowską, Markiewicza i Taborowskiego.
9. Prezes Morawiecki obraża prezesa Kaczyńskiego.
10. Kaczyński obraża Morawieckiego.
11. Czarnek obraża kogo popadnie.
12. Błaszczak i Czarnek obrażają przyzwoitość.
13. Prezes Mentzen obraża policjantki.
14. Prezes Braun obraża Ukraińców.
15. Braun obraża Żydów.
16. Braun obraża panią doktor Gizelę Jagielską.
17. Minister Żurek obraża neosędziego Mielcarka.
18. Mielcarek obraża sprawiedliwość.
19. Poseł Romanowski obraża uczciwość.
20. Kto może, obraża Romanowskiego.
21. Wiceprezes Ziobro obraża prawo.
22. Poseł Nitras obraża Radosława Piesiewicza.
23. Piesiewicz obraża olimpijczyków.
24. Piłkarze grają obrażają kibiców.
25. Kibice obrażają piłkarzy.
26. Telewizja Republika obraża prawie wszystkich i prawie wszystko.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

* Tytuł nawiązuje do głośnego filmu Lordana Zafranovicia „Okupacja w 26 obrazach” („Okupacija u 26 slika”) z 1978 r.



Ilustr. KROKODYL

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN kandyduje na senatora w Zielonej Górze. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** kibicuje jej jak zwykle i prosi Czytelników o to samo.

Wołk-Łaniewska: – Na początek oświadczenie: do 13 października trzeba zebrać podpisy. Wobec czego bardzo prosimy mieszkańców Zielonej Góry oraz powiatów krośnieńskiego, świebodzińskiego i zielonogórskiego o autograf. W niedzielę od południa Joanna będzie zbierać osobiście na zielonogórskim deptaku przy pomniku Bachusa.

Senyszyn: – No i dodaj, że ty ze mną.

– Nie dodałam ze skromności, ale ja z tobą, oczywiście. Robimy desant na deptak…

– Zaraza, zaraz, desant to chyba nie jest szczęśliwe słowo. Nie zamierzam być klasycznym parlamentarzystą spadochroniarzem, co go zrzucili, dał się wybrać i uciekł. Jak zostanę senatorem z Zielonej Góry, to zamieszkam w Zielonej Górze, tak jak mieszkałam w Krakowie czy Brukseli. Będę mieć biura i w mieście, i w powiatach, mieszkańcy będą mieć ze mnie większe korzyści niż z miejscowych parlamentarzystów, którzy uważają, że już nie muszą się starać…

– A konkurencję masz jaką?

– Jeszcze nie do końca wiem. Komitetów jest 12, ale nigdy nie wiadomo, kto zbierze podpisy, jak pokazuje niedawny krakowski przykład konfederatów… A żeby było całkiem zabawnie, tak zwany pakt senacki nie mógł dogadać się co do kandydata – PO chciała lokalnego radnego, PSL wicemarszałka, a Polska 2050 wiceministrę edukacji – więc w końcu postawili na żonę gen. Różańskiego. Znaczy wdowę…

– Smoleńsk wiecznie żywy.

– Podobno dlatego, że młodszy o 10 lat brat generała, pułkownik czy podpułkownik Daniel, też wojskowy, przystąpił do Brauna. Nie wiadomo, czy będzie startował, czy tylko popierał, ale generałowa ma być dla równowagi.

– A co o niej wiemy?

– Że ma na imię Zdzisława.

– Pięknie. Mogłaby być postacią z „Lalki”. Albo „Trędowatej”. Coś jeszcze?

– Nie, to tyle. Próbowałam nawet znaleźć jakieś informacje w necie, ale wszędzie wyświetla się tylko życiorys generała i pytanie, czy wyborcy pozwolą jej kontynuować misję męża. Więc może jest specjalistką od wojskowości…

– Sztuczna inteligencja podpowiada, że jest magistrem inżynierem od terenów zielonych. Ale może wiedza o wojskowości przenosi się drogą płciową czy też uczuciową…

– To stara teoria Korwin-Mikkego, ale dotyczy poglądów politycznych, a nie wiedzy specjalistycznej. Została z sukcesem wypróbowana na wdowach smoleńskich: PiS wystawił swoje, PO swoją, lewica swoją…

– Generalnie odcinanie kuponów od bliskich denatów jest modne w polskiej polityce: mamy wszak sierotę smoleńską na stanowisku ministry edukacji i wdowę po zasztyletowanym prezydencie Gdańska w europarlamencie. Ani jedna, ani druga nie miałaby szansy na stanowisko, gdyby nie śmierć w rodzinie.

– To zresztą jest amerykański obyczaj…

– Prawda. Jak ostatnio odwalił kitę Lindsey Graham – to był taki republikański Suski – to Trump namaścił jego siostrę. Ale dla zachowania pozorów odbyła się jakaś nibydebata, w której kandydatka została zapytana, czy sytuacja wokół Tajwanu i Morza Południowochińskiego stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych i dlaczego. A Darline na to: „Będę szczera: nie jestem aż tak poinformowana na temat bezpieczeństwa narodowego, ale popieram siły zbrojne”. Przebiła Sarę Palin…

– Przypomnijmy: Sarah była kandydatką na wiceprezydenta USA z 2008 r. Wyróżniła się absolutnie bezdenną głupotą i doskonałą ignorancją. A było to w czasach przedtrumpowych, więc jeszcze na kimś robiło to wrażenie.

– Katie Couric z CBS zapytała Palin, skąd czerpie wiedzę o świecie, jakie gazety i tygodniki czyta. A kandydatka na wiceprezydenta USA, że „większość z nich, z wielkim uszanowaniem dla mediów”. Na co dziennikarka: „Ale które konkretnie?”. A kandydatka: „wszystkie, każde, które miałam przed sobą przez te wszystkie lata”…

– Pamiętam, że nie potrafiła wymienić żadnego tytułu. Ale jest postęp. Trump potrafi. Wiedział nawet, kogo chce wyrzucić z Białego Domu: CNN, MS NOW i Politico.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Podobno chciał też wyrzucić Tuska z rządu, tylko Kosiniak-Kamysz się nie skusił. Nie mam specjalnego problemu z wyobrażeniem sobie, że tego właśnie dotyczyła tajemnicza rozmowa Trumpa z Kosiniakiem w marcu. I nie jestem w stanie uwierzyć, że przez Trumpa muszę bronić obecności Donalda Tuska na czele polskiego rządu, ale: pomarańczowy dement precz od polskiego premiera!

– Precz! Zmieniając temat: słyszałaś o abortomacie?

– Wreszcie w czymś jesteśmy pierwsi na świecie!

– Dla tych, co nie słyszeli: w lokalu Abotak przy Wiejskiej 9, tuż koło sejmu, stoi paczkomat, z którego pacjentki, po konsultacji online, mogą sobie odebrać mifepriston i mizoprostol, czyli tabletki wywołujące poronienie. A ponieważ odbierają samodzielnie, to odpada paragraf o pomocnictwie w aborcji.

– I jest pięknie. Z całego serca gratuluję Aborcyjnemu Dream Teamowi pomysłu, a Braun niech się wypałuje ze swoim doniesieniem.

– A zdążył już donieść?

– Owszem i to bardzo poetycko: „Mamy do czynienia z mechanizmem pomyślanym i zaplanowanym tak, by rozmyć rękę podającą tabletkę śmierci”… I jeszcze: „Dość już bezprawia w białych rękawiczkach”.

– To on chce myć tę rękę czy zakładać białą rękawiczkę?

– Może najpierw umyć, a potem założyć, żeby się rękawiczka nie pobrudziła? A skoro już jesteśmy przy postępie obyczajowym w RP: zachwycili mnie parafianie od św. Wawrzyńca w Grojcu, przed którymi biskup spieprzał pod osłoną policji, bo się wściekli, że im proboszcza odwołał. Toż to dowód na demokratyzację owczarni.

– Najzabawniejsze jest to, że odwołał go nie sam biskup – sprawa przeszła trzy kościelne instancje – a nikt nie wie, za co wyleciał, bo biskup mówi, że przestrzega prywatności księdza, a ksiądz milczy jak zaklęty.

– „Rzeczpospolita” wyśledziła, że to dlatego, że za dużo mszy odprawiał.

– A na tym nie polega jego robota przypadkiem?

– Otóż okazuje się, że nie do końca. Bo prawo kanoniczne pozwala księdzu odprawić jedną mszę dziennie, góra dwie, a ten trzaskał jedną za drugą, podczas gdy na innych księży, w sąsiednich parafiach, nie było chętnych.

– A, rozumiem: on kasował za te msze, a koledzy się denerwowali, że im klientów podbiera?

– Ponoć właśnie raz kasował, raz nie, jak na biednego trafiło, i dlatego był taki popularny…

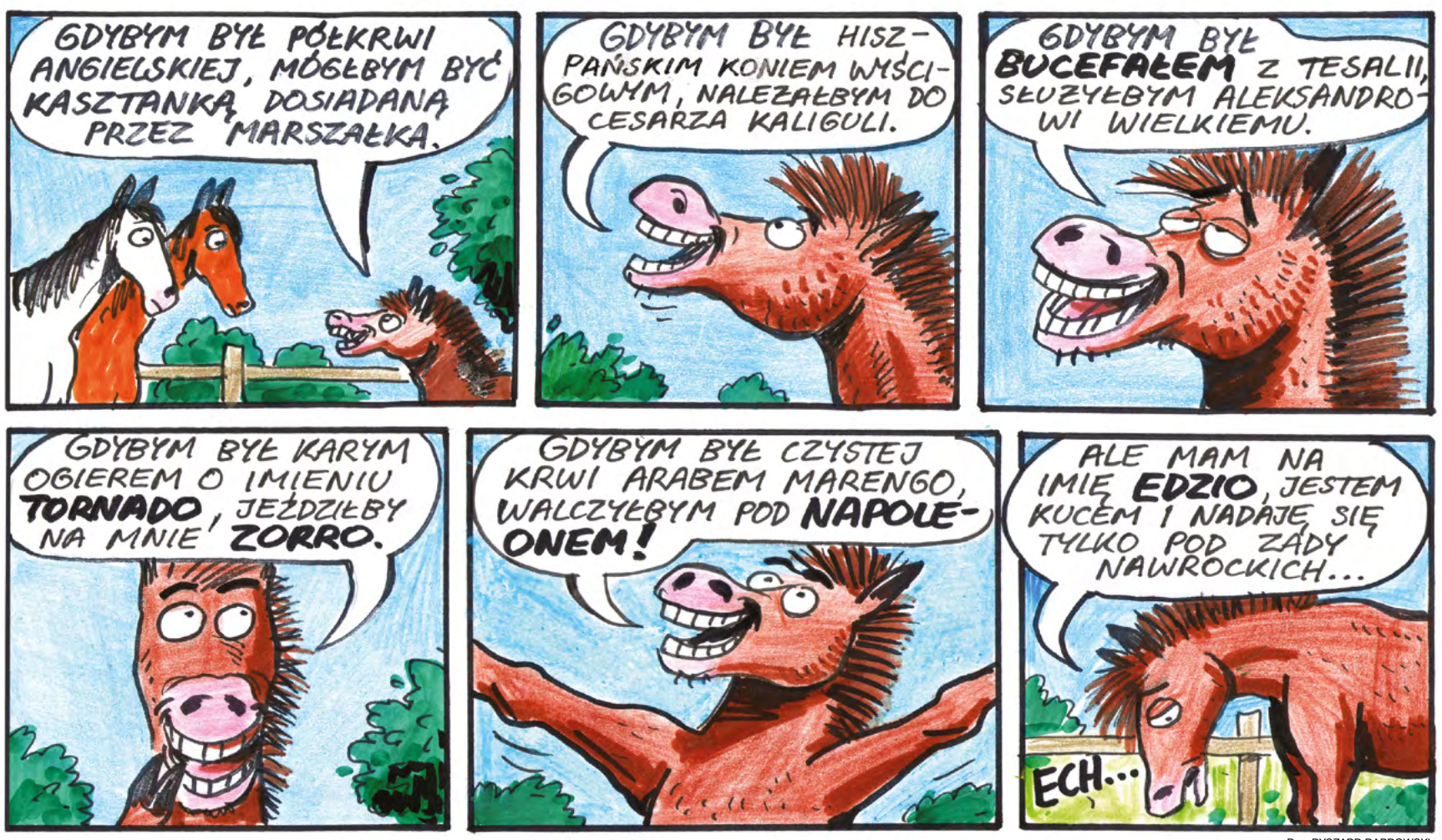
– Podstawowa zasada marketingu: rabaty i promocje budują lojalność wobec marki. Bardzo nowoczesny ksiądz, ale faktycznie daje zły przykład, to znaczy za dobry. Władza, także świecka, nie lubi sumiennych, uczciwych pracowników, bo pokazują, że można.

– Tylko boję się, że to jest za piękne, żeby było prawdziwe: taki porządny ksiądz, odwołany wbrew woli parafian z inicjatywy chciwych kolegów po fachu, z błogosławieństwem Watykanu, który znów przedłożył szmal nad dobro i życzenia wiernych… Lękam się, że wszyscy się zaangażują w obronę księdza, a potem się okaże, że ma czworo dzieci i alimenty z tacy płacił, na kurwy z parafialną kartą kredytową chodził albo ministrantów pod prysznicem podglądał…

– I zostaniemy z tą obroną jak Himilsbach z angielskim.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl d670026849